

[Handwritten signature]

ZA OCEAN BEZ PIENIEDZY

BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE
Redakcja i Administracja: ulica Senatorska Nr. 29
(Galerja Luksemburga)
Konto w P. K. O. 13355. Tel. 275-03.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Kwartalnie (6 tomów) 5.50 zł.
Półrocznie (12 „) 11 zł.
Rocznie (25 „) 20 zł.

Prenumerata w oprawie z przesyłką poczt. wynosi:

Kwartalnie (6 tomów) 9 zł.
Półrocznie (12 „) 18 zł.
Rocznie (25 „) . 33 w ratach 35 zł.
Książka wychodzi 15-go i 30-go każdego miesiąca

№ 39

Redaktor i wydawca: Stanisław Cukrowski.

JULJAN KRZEWIŃSKI

Komputer

ZA OCEAN BEZ PIENIĘDZY



8885

BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE



260718

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0126164

Zakłady Graficzne A. Szlachowicz i S-ka,
Warszawa, Nowolipie 11. Telefon 321-71.

W-298/01

PRZEDMOWA

(Do książki J. Krzewińskiego pod tytułem
„Za ocean bez pieniędzy“).

Któż nie zna Juljana Krzewińskiego, niezapomnianego aktora niegdyś sławnej, warszawskiej operetki, który od paru lat przeniósł się do teatrów Szyfmanowskich, gdzie z powodzeniem kreuje role charakterystyczno-komiczne?

Nie wszyscy jednak wiedzą, że autor niniejszej książki swój bezprzykładnie pracowity żywot aktora w ciągu 25-u lat (w roku 1928 przypada srebrny jubileusz Krzewińskiego, jako aktora) potrafił jeszcze urozmaicić dość okazałym dorobkiem literackim.

Cały szereg jego powieści, z których niektóre doczekały się drugich wydań, („*W niewoli ziemi*“, „*Z dziejów tęsknoty*“, „*Dajmon*“), są już dawno wyczerpane, a porusza w nich autor tematy okultystyczno-filozoficzne.

Kanwą do jego powieści p. t. „*121, 122, 123...*“ był rok 1920 i przeżycia autora na froncie lwowskim, jako ochotnika podczas inwazji bolszewickiej.

125

On również jest autorem wielu sztuk, grywanych z powodzeniem w teatrach polskich, jak też libretta do opery Różyckiego p. t. „Casanova”.

Tym razem Krzewiński sięgnął po tło dla swej książki do młodzieńczych wspomnień. „Za ocean bez pieniędzy”, jest to okres tułaczki autora po Południowej Ameryce.

Namawiałem sam nieraz go, aby utrwalił swe ciekawe, bujne, pełne podróżniczego temperamentu i nie pozbawione żyłki awanturniczej opowiadania, jakimi nieraz dzielił się z przyjaciółmi przy biesiadnym stole.

Oto owoc mej namowy.

Czytać te wspomnienia będzie każdy, nietylko z pośród tak zwanych „dorosłych”, ale i z tych, którzy mają szczęście zaliczać się jeszcze do „młodzieży”.

Dziś te romantyczne przygody wydać się mogą nawet nieprawdopodobne dla tych, którzy już nie pamiętają przedwojennych czasów, kiedy możliwa jeszcze była taka podróż, nietylko bez pieniędzy, ale nawet bez... paszportu.

Józef Wójcicki.

I.

Czy znajdzie się kto z pośród mężczyzn, będących na wszelkich szczeblach drabiny społecznej, który w dzieciństwie nie marzył o dalekich podróżach? Czy znajdzie się kto, zarówno z tych zjadaczy powszedniego chleba, których życie upłynęło bez wstrząśnień, gładko, planowo, niby dobrze uregulowana rzeka, jak i tych innych, których temperament nieokiełznany znaczy drogę życia, niby górski strumień — pełen niespodzianych wyrw, zakrętów, mielizn. Zdaję mi się, że nie przesadzam twierdząc, iż każdy w dzieciństwie miał chwile, kiedy śnił na jawie o dalekich podróżach, dziwnych przygodach, niezwykłych przeżyciach...

Jestem pewien, że niema tak zrównoważonego pedagoga, dyplomaty, kapłana i t. p., któryby nie miał na swem sumieniu tego niewinnego grzechu, jakim są kuszące marzenia o dalekich lądach, a z nimi związanych awanturach pełnych młodzieńczej fantazji i nieprawdopodobnych zdażeń.

Kto z nas, przeczytawszy z zapartym oddechem „Robinsona Cruzoa”, nie zazdrościł w dziecinnej swej duszy tych wspaniałych przeżyć nieposłusznego chłopcu?

Kto z nas, płacząc nad jego losem, gdy nie-
szczęsny włóczęga wrócił do kraju, doznając wy-
rzutów sumienia, iż nie słuchając rodziców, zmar-
nował swe najlepsze lata na bezludnej wyspie i nie
został już tych, których tak kochał, a do których
tak bardzo tęsknił—kto z nas choć podświadomie,
nie zazdrościł mu i tych nawet cierpień i zawodów?

Pochłaniało się wówczas „Ostatniego Mohi-
kanina“, „Podróż bez pieniędzy“, „Ducha puszczy“
i t. p. dziecinne książki, które więcej wtedy dawa-
ły rozkoszy i zadowolenia, niż najwspanialsze
później arcydzieła literatury.

U jednych ta gorączka podróżnicza, ten głód
niezwykłych wrażeń, ta żylka awanturniczości mi-
ja dość szybko, jak wietrzna ospa, u innych zosta-
wia ślady na całe życie jak czarna ospa, a nieraz
i do późnej starości odczuwa się paroksyzmy tej
chronicznej, u niektórych typów, choroby.

Jestem jednym z tych ostatnich.

Będąc w krakowskim uniwersytecie, oprócz
bardzo serdecznych przyjaźni z moimi kolegami aka-
demickimi, nawiązałem też wkrótce po zjawieniu
się w Krakowie, zażyłe stosunki z wszelkiego auto-
ramentu artystami młodszej generacji. Byli wśród
nich malarze, rzeźbiarze, literaci i t. p.

Były to czasy przybyszewszczyzny. Szarzy-
na życia codziennego, podkreślana silnie przez
grono artystycznych cyganów na nieskończonych
sjestach w kawiarniach, zwłaszcza w Michalikowej
Jamie, jednych wtrącała w tępą rezygnację, innych
pobudzała do buntu przeciw utartym gościńcom
szablonowego, powszedniego życia.

Już wtedy nieraz w towarzystwie drogich, nie-
zapomnianych towarzyszy, przeważnie malarzy
i literatów, dokazując wspólnie z nimi cudów po-

myślowości i oszczędności, puszczałem się w da-
leką podróż dla zwiedzenia Europy i jej naj-
piękniejszych stron.

I nikt mi nie zaimponuje wygodnym sleepin-
giem, pierwszorzędnymi hotelami, luksusowymi ka-
binami wspaniałych okrętów.

Tych wspomnień podróży trzecią i czwartą
klasą, lub handlowymi statkami wśród pak i бага-
ży, mieszkań, gdzie popadło, w norach i zakamar-
kach południowych portów, — nie oddałbym za
przewycia luksusowych wędrówek za pośrednic-
twem Cooka.

Tułaczka w towarzystwie tak bardzo dobra-
nem, tak odpowiadającym mojej naturze pod każ-
dym względem, po cudnej Italji, Szwajcarii, Wę-
grach i t. d., nie zaspokoiła jednak w zupełności
moich marzeń o krajach egzotycznych i związa-
nych z nimi przygodach.

Mogę śmiało wyznać, że i wtedy, będąc już
dorosłym, odczuwałem te same dziecinne namięt-
ności i porywy awanturniczo-podróżnicze, co chło-
pak z I-ej klasy, pod wpływem lektury „Robin-
sona“.

Nieraz znalazłszy się w porcie Genueńskim,
godzinami obserwowałem bajeczny ruch wszech-
światowej przystani, skąd odbijały wielkie trans-
oceanowe okręty we wszystkich kierunkach świa-
ta i dokąd witały bezustannie różne statki, za-
głowiec, yachty...

Nie przypuszczałem wówczas, iż gorączka
moja dojdzie kiedy do takiej temperatury, że rzu-
cę posadę, zerwę kontrakt, pożegnani na dłuższy
czas rodzinę, kolegów, przyjaciół, z którymi przez
cztery lata w Krakowie tak bardzo się żyłem

i wyruszę w dalekie, nieznane mi kraje bez środków do życia, bez planu, bez celu nawet.

Byłem w teatrze aktorem wśród kolegów, z którymi od tej pory do dziś dnia zachowałem przyjacielskie stosunki.

Ówczesny teatr Ludowy pod dykcją s. p. Gabryelskiego zgromadził prawie same młode siły, z których większa część później zajęła czołowe stanowiska na scenach Polski.

Gdy byłem w środku sezonu, w lutym na pierwszorzędnym w tym teatrze stanowisku, do którego i gaża niezła była przywiązana, nagle jakiś wczesny powiew przedwiosenny rozdmuchał w mej duszy — jak mi się już zdawało — wygasłe ognisko żyłki włóczęgowskiej.

Dopiąwszy tego, do czego konsekwentnie, zwalczając tysiączne przeszkody, dążyłem, — zostawszy wreszcie aktorem, rokując najlepsze (według zdania miarodajnych osób) nadzieje na przyszłość, — przekonałem się, że siedząc na jednym miejscu, odbywając rano monotonne próby, a wieczorem występując na scenie — nie wypełnię tem aż do usatkwowania się, aż do pewnego zrównoważenia, tej pustki, jaką odczuwałem z braku nadziei na coś bardziej nieoczekiwanego, niż codzienna próba, na coś więcej ponętnego, niż nowa rola w sztuce.

Jednym słowem, musiałem sobie otwarcie powiedzieć: „Jesteś dorosły chłop, dojrzały wiekiem, według metryki, aleś jeszcze nie wyszumiał“.

Siedziałem właśnie przed lustrem, charakteryzując się do Jagielly w „Betleem Polskim“ Rydla, gdy jeden z mych przyjaciół, człowiek, którego wówczas miałem za pana w średnim wieku, gdyż o dziesięć lat był odemnie starszy, a przytem doktor praw i filozofji, położywszy mi rękę na ramieniu, zagadał:

— Nie pojechałbyś ze mną do Ameryki?

W tem jego zwróceniu się do mnie w związku z mojami dumaniami, w które tak trafnie wpadł, widziałem coś mistycznego.

— Owszem — odrzekłem bez namysłu.

— No to jedziemy.

Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe, że na tem skończyła się narazie nasza rozmowa. I jestem pewien, że projektodawca ani na chwilę nie wątpił, że z nim pojedę, skoro odpowiedziałem: „Owszem“.

Tego wieczora z zupełnie innym uczuciem wchodziłem na scenę, niż zwykle.

Myśl, błakająca się już w okolicach oceanu Atlantyckiego, Amsterdamu, czy Genui, wypędziła ze mnie doszczętnie zwykłą sceniczną treść.

Wogóle teatr i wszystko z nim związane odeszło na plan drugi. Czekałem z niecierpliwością końca przedstawienia, po którym spodziewałem się mego przyszłego towarzysza podróży spotkać w stale przez nas odwiedzanej knajpcie.

Niedokładnie rozcharakteryzowany w piętnaście minut po skończeniu sztuki szukałem mego Bolka przy naszym „sztamtiszu“.

Ponieważ byliśmy narazie sami, szybko przystąpiliśmy do rzeczy, z wódeczką i przekąskami czekając na liczniejsze grono przyjaciół.

— Sam wybierasz się do Ameryki? — spytałem.

— Nie — odrzekł zapytany — z tobą.

W krótkich słowach wyłuszczył mi cały plan. Przytem ciągle zachwalał mi zasadę amerykańską nie działania bez planu.

Plan, to rzecz najważniejsza. On ma pieniądze na drogę i pierwsze dni pobytu.

Ja mam się postarać o jaki taki grosz i tak wspólnymi siłami drugą klasą możemy dostać się do New-Yorku. Plan Bolka niezwykle przypadł mi do gustu, zwłaszcza, że w stolicy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej miałem mnóstwo znajomych, z kórych Helena Modrzejewska i jej synowa z wnukami, z którymi zaprzyjaźniłem się bardzo podczas ich pobytu w Zakopanem, byli poważną ostoją, na której mogłem oprzeć moje nadzieje na to, że przecież nie zginę zaraz po wyładowaniu na Ellis Island. Były to jeszcze te piękne, a zapewne na zawsze przepadłe czasy, kiedy nie trzeba było żadnych pasportów, wiz, affidawitów, pozwoleń imigracyjnych i t. p. tortur nowoczesnych.

Te więc kłopoty, z których dziś nieraz wogóle wybrnąć nie podobna i często rezygnuje się z zamierzonej podróży, nie zajęły nam wcale czasu, przeznaczonego na przygotowania przedwyjazdowe.

Pierwszem naszym dziełem było napisanie do Hamburga do agencji okrętowej o informacje.

Zaraz potem zawiadomiłem z pewnym niepokojem rodziców moich w Warszawie o mym projekcie.

Wprawdzie byłem już tak mocno zdecydowany na warjacką podróż, że nawet zakaz rodziców nie wpłynąłby napewno na zmianę moich projektów.

Jednakże wyjechać z Europy bez błogosławieństwa matki, bez listów polecających ojca, który mógł mi ich dać do Ameryki bez liku, nie miałem wcale ochoty i w tem nie chciałbym naśladować Robinsona.

Stąd pochodził niepokój, z jakim doniosłem rodzicom o mych szalonych zamiarach i trema, z jaką otwierałem wkrótce kopertę, drogiego ojca ręką adresowaną, do mnie.

Radość moja była nie do opisania, gdy z treści zbiorowego listu całej mojej rodziny mogłem wnioskować, że nietylko nie potępiają mojego projektu, ale choć z bólem serca z powodu rozstania, zachęcają mnie do podróży, która może mi dać wiele wrażeń niecodziennych i życiowego doświadczenia,

Zwłaszcza matka donosiła mi, jak trudno przyszło jej przekonać moje babki dwie, że i z Ameryki wracają i że nie jestem już dzieckiem, które należałoby krępować zakazami, które w dodatku nie na wieleby się przydały.

I nic nie maciło mi już błogich chwil przygotowania do upragnionej podróży.

Na drugi dzień otrzymałem jeszcze z domu parę listów polecających i adresów różnych osób w Ameryce oraz trochę pieniędzy na drogę.

Wówczas niezbyt wielu krakowian rocznie udawało się do Ameryki, to też nasz projektowany wyjazd stał się na jakiś czas nielada sensacją dnia.

Zwłaszcza w świątku kawiarniano-artystycznym nasza podróż do Ameryki była treścią rozmów nieskończonych i dyskusyj.

Jedni nam zazdrościli, inni się dziwili, a trzeci (tych było najwięcej) nie wierzyli w dojście naszego projektu do skutku.

To też, gdy termin naszego wyjazdu do Wrocławia wreszcie nadszedł, niezliczone tłumy naszych przyjaciół z rodziną mego towarzysza na czele odprowadziły nas na dworzec.

W oczach mego towarzysza, choć już człowieka trzydziestokilkoletniego, zabłysły łzy rozrzewnienia, gdy zegnał się ze swym staruszkim ojcem i siostrą. Ponieważ ja z moimi najbliższymi pożegnałem się tylko listownie, więc moment wyjazdu z Krakowa nie zostawił po sobie do dziś dnia we wspomnieniu nic więcej, prócz bezbrzeżnej, nieprawdopodobnej radości. Gdyśmy tylko ochłonęli po ruszeniu pociągu, zabraliśmy się skrupulatnie do rozpatrzenia i przestudjowania całej masy prospektów, ilustracji, reklam i cenników, których nam nie poskąpiła usługowa agencja okrętowa przysłać z Hamburga. Postanowiliśmy z Wrocławia zatelegrafować do agencji, że 4-ego marca stawimy się w Hamburgu, aby okrętem kompanji „Nord Amerika Linie“ wyruszyć tegoż dnia na pełne morze.

To też, gdyśmy przyjechali do Wrocławia, pierwszym naszym dziełem było wysłanie depechy z zamówieniem dwu biletów na projektowany okręt i dzień.

Mój drogi towarzysz nie dał mi się w drodze wogóle nudzić ani chwili.

Ponieważ miał zasadę nic bez planu nie poczynać, snuł ze mną do wspólni projekty na pierwsze dni podróży, tygodnie, miesiące i lata.

Niemal każdy dzień od wylądowania na Ellis Island w jego przewidywaniach miał już swoje

przeznaczenie. A więc: pierwsze dni mieliśmy poświęcać na odwiedzenie znajomych, wręczenie listów polecających, rozpatrzenie się w stosunkach, nabycie stałego mieszkania i poszukanią zajęcia.

Któregoś tam dnia po przyjeździe do Ameryki mój towarzysz miał ogłosić w jakim polskiem stowarzyszeniu odczyt o Kościuszcze, jako były profesor historii w szkołach krakowskich. Ja miałem urozmaicić jego prelekcję odpowiednio dobranymi utworami, deklamując je, lub odczytując.

Mój zacny towarzysz robił sobie nawet krótkie konspekty przyszłych owych odczytów oraz wyciąg deklamacyj, które ja miałem interpretować.

Pamiętam te efektowne, a zwłaszcza amerykańskie interesujące tytuły przyszłych odczytów profesora P.: „Tadeusz Kościuszko“, „Puławski w Ameryce“, „Mickiewicz i księgi pielgrzymstwa a wychodźstwo polskie w Ameryce“ i t. d.

We Wrocławiu postanowiliśmy zanoćować i zwiedzić miasto, które nam się spodobało.

Chcieliśmy też w ten sposób przerwać uciążliwą podróż i podzieliwszy ją na parę etapów, niezbyt się nią umęczyć przed długą drogą oceanem, która nas już za parę dni czekała.

Zwiedziliśmy co się dało we Wrocławiu przez cały dzień, oszczędzając grosza, a nawet skąpiąc sobie na tramwaj, lub lepszy posiłek.

Kiedyśmy porządnie już znużeni wrócili do hotelu, a ja zacząłem się skwapliwie rozbierać, mój towarzysz zapalił swe ulubione cygaro, w których cały zapas zaopatrzył się w Niemczech, gdy tylko granicę przejechał. Zaczął spacerować po numerze hotelowym, jakby ociągając się z rozbieraniem. Znałem go dobrze.

Wiedziałem, że ma ochotę mi coś powiedzieć, ale się czemś krępuje.

— Dlaczegoż się nie kładziesz? — spytałem.

— Wiesz — odparł — jakoś mi się jeszcze spać nie chce.

— Nałatałeś się cały dzień... — próbowałem perswadować.

— Nie, czekaj — przerwał moje wywody — ja się trochę przejdę po mieście. Nie znam Wrocławia w nocy. Może nigdy już w tem mieście nie będę.

I już się zaczął ubierać. Przed samem wyjściem oddał mi do schowania wszystkie pieniądze, nie chcąc ich brać ze sobą. Zostawił sobie tylko jedną markę drobnymi na portjera, jak mówił, a może i na szklanke piwa.

I poszedł.

Przez chwilę żałowałem, że z nim nie poszedłem, gdy przypomniałem sobie wspaniały smak piwa, którym raczyliśmy się przy obiedzie, ale wkrótce senność wzięła górę nad moją istotą i zasnąłem.

Gdy zbudziłem się, już świtało. Spojrzałem na zegarek, była 6-a rano.

Zdziwiłem się, iż tak twardo spałem, że Bolek wracając ze spaceru i kładąc się spać, mimo woli mnie nie obudził.

Lecz to zdziwienie ustąpiło natychmiast miejsca innemu, gdy spostrzegłem, że pierzyna na łóżku mego towarzysza jest nieruszona i leży pięknie ułożona, jak ją była tam zostawiła hotelowa „Maedchen“.

Zaniepokoiłem się nie na żarty.

Czyżby zapomniał nazwy hotelu, w którym zamieszkaliśmy?

Czyżby zdarzył mu się jakiś wypadek? I jedno i drugie wydawało mi się dość nieprawdopodobne.

Bolek był zbyt doświadczonym człowiekiem, żeby nie dać sobie rady.

Przytem niemieckim językiem, jako były oficer armji austriackiej, władał wybornie.

Zagadka wnet się rozwiązała bez mojej pomocy.

Ozwało się pukanie do moich drzwi.

— Herein! — zawołałem z pewną tremą, czy nie otrzymam jakiej złej wiadomości o Bolku. Może zachorował, może inny jaki wypadek mu się przytrafił.

Wszedł chłopak w jakimś uniformie i wręczył mi kartkę, na której kochany Bolesł donosił mi w krótkich słowach, ołówkiem pisanych, iż jest w jakimś kabarecie, gdzie znalazł przemiłe towarzystwo, że pito tam dość obficie jego zdrowie i jest zastawiony za przeszło 20 marek w bufecie.

„Ładny zastaw“ — pomyślałem i chcąc się go jaknajprędzej doczekać, gdyż wkrótce trzeba było już szykować się na pociąg do Poznania, dałem chłopcu żądane pieniądze, napisawszy bilecik, w którym zakląłem Bolka na to co ma dziś najdroższego, to jest na dojsście do skutku naszej podróży, aby natychmiast wracał do hotelu.

Nie czułem się powołany robić wymówek za lekkomyślność człowiekowi o dziesiątek lat odemnie starszemu.

Tem nie mniej pieniędzy, powierzonych mi przez niego, nie oddałem mu i z jego, naturalnie, zgodą, wszelkie wydatki ~~same~~ uiszczałem z jego zasobów monetarnych.



W Poznaniu wpadliśmy w towarzystwo moich kolegów aktorów. Zaś dyrektor polskiego teatru gościł nas i fetował, darzył swą dyrektorską lożą za przedstawienia, chcąc uczcić w Bolku byłego profesora swego syna w gimnazjum krakowskim.

Niestety skrupulatnie obmyślane uprzednio plany Bolka pogmatwała niemożliwie strzała Kupidyna.

Poznał on w Poznaniu piękną, początkującą artystkę, której go tam przedstawiłem, jako mej koleżance z Krakowa, a nawet dawnej przyjaciółce z Warszawy, którą znałem i z którą przyjaźniłem się, gdy była jeszcze pensjonarką, a ja sztubakiem.

Jej, rzeczywiście niezwykła, uroda wprost go olśniła.

Gdyśmy wyszli z pierwszej wizyty u niej, podczas której mój towarzysz nie wyrzekł ani słowa, a zachwyt swój wyrażał jedynie wlepionym w jej oblicze wzrokiem, zawołał, chwytając mnie oburącz za kołnierz pałta:

— Julek! Skądżeś ty wyrwał takie cudolo?

— U nas w Warszawie jest jeszcze kilka takich — odrzekłem chełpliwie, uwalniając aksamitny kołnierz od kleszczów rąk mego rozmówcy.

Od tej pory mojego poczcziwego Bolcia mało w Poznaniu widywałem. Chadzaliśmy jakoś każdy swemi drogami.

Od czasu do czasu tylko otrzymywałem od mego towarzysza lakoniczne zawiadomienie, przysyłane przez „piccola“, że tam a tam, w takim a takim barze mój Bolcio zastawiony jest w bufcie za tyle a tyle bąb piwa.

Czas naglił.

Zacząłem się niecierpliwić. Nieliczne chwile, gdy mogłem spotkać się z mym przyjacielem w tym czasie, spełzły zazwyczaj na mych pytań, kiedy, do licha, wyjeżdżamy wreszcie z Poznania i na jego odpowiedziach ni w pięć ni w dziesięć, że Marylka ma cudne oczy, że takich oczu nigdy nie widział.

Raz nawet chciał mnie koniecznie wyzwać na pojedynek, gdyż przypomniał sobie, że ja zaraz po jego pierwszej wizycie u pięknej artystki, ośmieliłem się twierdzić, iż w Warszawie jest jeszcze kilka kobiet równej z nią urody.

Pojedynek nie doszedł do skutku, a ja z pieniędzy Bolka musiałem w barze, w którym go zastałem, zapłacić za dwa tuziny bąb piwa, jakie skonsumowali wraz z szucmanem, którego tu był zaprosił, aby opowiedzieć mu przy piwku o piękności z Warszawy i wymusić na swym słuchaczu zeznanie, że wogóle niemki nie mogą konkurować urodą z polkami.

Pieniądze znacznie szybciej topniały, niż to przewidywały nasze skrupulatne plany i rachunki.

Czas również szybciej zlatywał w podróży między Krakowem a Hamburgiem, niż sobie to obiecywaliśmy w naszych projektach.

Wiele trudu, elokwencji, a nawet grózb mego powrotu do Krakowa i pozbawienia w ten sposób Bolka mego towarzystwa kosztowało wywanie go z Poznania.

Pierwszy raz z tej strony poznałem mego towarzysza.

Dotąd miałem go za dobrego kompana w towarzystwie męskim, prowadzącego z zamiłowaniem nieskończone dysputy na temat sztuki, poli-

tyki, wreszcie, opowiadającego pieprzne dyktoryjki.

Teraz odkryłem w nim romantyka, marzącego lirycznie o pięknych oczach Marylki.

Do dziś nie jestem pewien, czy czasem ten krótki epizod w naszej podróży do Ameryki nie był w jego życiu pierwszą miłością.

W Berlinie zatrzymaliśmy się zaledwie parę godzin, spiesząc do Hamburga. Obawiałem się, że nie zdążymy na okręt, który miał nas dostawić do New-Yorku.

Bolek bowiem miał w notesie swoim skrupulatnie zapisane wszelkie daty, jako to: kiedy i o jakiej godzinie odjazd z Wrocławia, przyjazd do Poznania, wyruszenie z tego miasta i przybycie do Berlina, a wreszcie najważniejszy moment tego dziennika: odbicie od brzegu okrętu w kierunku upragnionej Ameryki. Gdy chciałem sprawdzić daty w jego dzienniczku, zawsze jakoś się wymigiwał.

To właśnie zapalał cygaro, to akurat musiał wyjść z przedziału, to znów jakiś widok przez okno wagonu zaciekawił go niezmiernie.

Gdy podnosiłem obawy, że spóźnimy się na okręt, dość mętnie starał się rozwiać moje niepokoje, co jeszcze bardziej mnie denerwowało.

Z tego wszystkiego, co z moim kochanym Bolkiem w pierwszych dniach przechodziłem, wynika, że był to najlekkomyślniejszy człowiek pod słońcem, pełen fantazji, polotu, niefrasobliwości i „joie de vivre”.

Mam nadzieję, że jeżeli te moje obiektywne, a szczerze wspomnienia, które teraz z rozrzewnieniem kreślę, wpadną w jego ręce, nie pogniewa się na mnie, kochany Bolcio, dziś zapewne ojciec rodziny,

a może już i dziadek swych wnuków, za to iż go nazwałem lekkomyślnym—gdyż ta jego cecha uczyniła go dla mnie najmilszym towarzyszem podróży, jakiego kiedykolwiek w życiu miałem. A podróż nasza i różne przygody dzięki jego usposobieniu lekkomyślnemu i rozbrajającej, wprost dziecięcej beztroskliwości, przyjęły humorystyczny, zabawny charakter, niby „Przygody Hucka” Marka Twaina, choć w innym wypadku mogły nabrać powagi tragicznych perypetyj.

— — — — —
Gdyśmy wreszcie dotarli do Hamburga, wraz z bagażami odrazu udaliśmy się do agencji okrętowej.

Coś się we mnie jakby załamało, gdym się dowiedział na wstępie od urzędnika agencji, że nasz okręt już wczoraj odszedł.

— Kiedy następny statek wyrusza do New-Yorku?—spytałem drżącym głosem.

— Za tydzień—brzmiała odpowiedź.

Ależ na tydzień nie starczy nam pieniędzy na pobyt w Hamburgu, nie mówiąc już o biletach okrętowych.

Wyobrażam sobie, że musiałem zblednąć, gdyż urzędnik zaproponował mi szklanekę wody.

Ale, gdy z kolei spojrzełem piorunującym wzrokiem na Bolka, na którego obliczu nie wyczytałem najmniejszego niepokoju, postanowiłem już od tej chwili powiedzieć „vogue la galere!” i oddać się w opiekę Bogu Najwyższemu.

Bolek, jakby nigdy nic, zbierał swe manatki i dopytywał urzędnika o tani hotel.

Ulokowawszy się w jakimś polskim pensjonacie, udaliśmy się na zwiedzenie miasta, a przede wszystkim portu.

Ciekawiło mnie zwłaszcza porównanie południowych portów, jak Tryjest, Fiume, Neapol, Genua z pierwszym na północy, jaki widziałem.

Może nie tak malowniczy, nie tak kolorowy, jak tamte, Hamburg ma też swój urok. A co do tempa gorączkowego życia w porcie, znacznie tamte przewyższa.

Wogóle podczas mojego pobytu w Hamburgu, to miasto zrobiło na mnie najprzyjemniejsze wrażenie ze wszystkich niemieckich miast, jakie znam. (Możliwe, że jest tego przyczyną to, iż zaledwie wstąpić na pokład okrętu, a już nabiera się przekonania, że opuściło się ląd Germanji. Może też i liczba obcokrajowców, przewyższająca tę ilość w innych miastach Niemiec, odbiera Hamburgowi specjalnie germański charakter, a przez to czyni go nam, Polakom sympatyczniejszym).

W pierwszym dniu zwiedziliśmy słynnego Hagenbecka.

Widziałem różne wspaniałe ogrody zoologiczne, ale żaden z widzianych przedtem i potem nie mógł równać się z hamburskim.

Usiadłem właśnie na ławce, zmęczony długą przechadzką, a naprzeciwko mnie, oddzielony tylko rowem pełnym wody o spadzistym brzegu z mojej strony, przechadzał się wspaniały lew afrykański w towarzystwie lwicy. Brak jakichkolwiek krat, klatki, więzów zrobił na mnie w tej chwili duże wrażenie.

Bezwiedna radość, której przyczynę i charakter dopiero później sobie uprzytomniłem, owładnęła podświadomie dziedziną mej jaźni.

Po chwili zrozumiałem, że to wrażenie, które teraz odniosłem z widoku dzikich królów pustyni na wolności będących, jest dla mnie rodzajem namiastki tej satysfakcji, jaką dałaby mi podróż w egzotyczne kraje, gdzie można się spotkać oko w oko z temi potworami, jakich tysiące widzi się u Hagenbecka w Hamburgu. Uprzytomniłem sobie, że właśnie tu, w Hamburgu, jest dla mnie pierwszy etap upragnionej podróży w dalekie a nieznane mi strony i natychmiast uczułem przykry niepokój: czy aby starczy pieniędzy?

Co będzie potem, o tem nie myślałem, nie śmiałem myśleć, bojąc się, abym nie stracił odwagi.

Aby tylko dostać się na okręt!

I zacząłem liczyć pieniądze. Okazało się, że o 2-ej klasie na okręcie już nie może być mowy.

Ale ładne parę dni czekania na okręt do New Yorku wypłoszyłyby tę niewielką resztę pieniędzy, jaka nam już pozostała, a wtedy nie mogliśmy nietylko marzyć o zamorskiej podróży, ale nawet o skromnym a haniebnym powrocie do Krakowa.

Z mym towarzyszem miałem się spotkać w barze na obiedzie.

W jednej chwili zdobyłem się na heroiczne postanowienie.

Wstąpiłem do biura okrętowego i zapytałem już znajomego mi urzędnika:

— Dokąd dziś wasz okręt odchodzi?

Urzędnik zaczął mi wyliczać: Antwerpję, Hawr, Gdańsk... Słuchałem z zartym oddechem...

Nagle wśród tych nazw europejskich portów usłyszałem: „Rio-de-Janeiro“.

— Dziękuję panu!—wstrzymałem jego litanję.

Z treścią w głosie zapytałem:

— Ileby kosztowały dwa bilety III-ej klasy (zwischendeck) do Rio de-Janeiro?

— Po 160 marek—odparł urzędnik.

Odetchnąłem.

Tyle mam jeszcze pieniędzy, a nawet po zapłaceniu hotelu, jeszcze ze 30 dolarów zostanie nam na drogę. Ile z tego będę miał przy lądowaniu—Bóg to raczej wie.

Położyłem 320 marek przed dość zdumionym urzędnikiem i zażądałem 2-ch miejsc trzeciej klasy na statek „Prinz Sigismund“.

— Ależ ja dla panów już zarezerwowałem dwa miejsca drugiej klasy do New-Yorku—zagadał urzędnik, patrząc mi badawczo w oczy, jakby obawiał się o całość moich zmysłów.

— Trudno—odparłem—pilne interesy wzywają nas na południe.

Urzędnik przed zabraniem się do wypisywania biletów, zwracał mi troskliwie uwagę, iż później nie da się już cofnąć zapłaty i zmienić marszruty, że „Prinz Sigismund“ nie jest statkiem ściśle pasażerskim, że tylko 200 osób przewozi, a głównym jego ładunkiem są towary handlowe, że okręt ten najmniej pięć tygodni będzie w drodze i zatrzymuje się w wielu portach Europy, Afryki i Ameryki Południowej, zanim zawinie do Rio-de-Janeiro. Widząc, że to wszystko, co mi opowiada, nie jest w stanie zrazić mnie do powziętego zamiaru, rad nierad sprzedał mi dwa bilety i, życząc szczęśliwej drogi, zalecił, abyśmy przed 12-ą w nocy byli już na pokładzie, gdyż o północy „Prinz Sigismund“ podnosi kotwicę.

Dziwnie lekki na duszy, pełen dobrych myśli dążyłem na rendez-vous z moim towarzyszem.

Nie twierdzą jednak, abym nie miał pewnej dozy wątpliwości, jak też przyjmie ten fakt „zapadłej klamki“ mój kochany Boleczek.

Siedział już przy stole, pociągając ze wspianego glinianego kufła ciemne hamburskie piwo, gdy powitałem go z miejsca słowami:

— No, kochany Bolciu, dziś o północy wyruszamy!

— Co? Czyżby zmiana w rozkładzie?

Nic nie mówiąc, położyłem przed nim na stole dwa bilety, przed chwilą kupione.

Spojrzał na mnie, przeczytawszy treść biletów i twarz jego rozpromieniła się beztroskim, wesołym uśmiechem.

— Świetnie!—zawołał.

— Wybornie! Rio-de-Janeiro! To, zdaje się w Brazylii! Ależ tam ciepło. Niedaleko stamtąd musi być Parana, gdzie jest mnóstwo Polaków. Stokroć wolę tam jechać, niż do Północnej Ameryki, która mało co musi się różnić od Europy.

Ja na to odpowiedziałem mu tylko, że teraz bardziej niż kiedykolwiek, zgadzam się z jego zdaniem tyle razy wygłaszanem, iż niema, jak podróżować z planem, z góry i dokładnie ułożonym.

Na tę moją ironiczną uwagę uśmiechnął się jeno pod wąsem i zauważył, że żał mu jedynie tytułu adresów i listów polecających do różnych osób w Północnej Ameryce, z których w żaden żywy sposób nie będziemy mogli skorzystać w Brazylii.

Już o jedenastej w nocy najeliśmy łódkę, która nas wraz z rzeczami miała zawieźć na pokład statku, „Prinz — Sigismund“. W kilka minut,

łódka zrećnie kierowana przez wytrawnego przewoźnika, prześlizgując się między gęsto stojącymi okrętami, dotarła wreszcie pod ścianę czarnego potwora, na którego dziobie jaskrawo latarnią oświetlony napis, ułatwiał wśród dziesiątków podobnych mu statków znaleźć ten, który za godzinę miał wyruszyć do Rio-de-Janeiro.

Jacyś marynarze prowadzili nas po schodkach na pokład statku, wydali nam kwity na bagaże.

Wskazano nam kajutę pod pokładem na 12 łózek w czterech rzędach, a trzech kondygnacjach.

Ponieważ byliśmy pierwszymi w tej kajucie pasażerami, więc wybraliśmy sobie dwa łózka górne tuż przy okrągłym oknie (jedynem), pomni na upały podzwrotnikowe, które prawdopodobnie za kilkanaście dni zaczną dawać się tu we znaki. O spaniu narazie nie było mowy.

Naprzód byliśmy zbyt zemocjonowani momentem, który miał rozstrzygnąć los naszych najbliższych miesięcy a może i lat.

Powtórę na pokładzie statku i na falach, obijających się nerwowo o boki naszego statku, mimo późnej pory, wrzało gorączkowe, wprost niesamowite ożywienie.

Dziesiątki łodzi, szalup, motorówek przybijało i odpływało od statku, lub krążyło koło niego, nie mogąc znaleźć sobie odpowiedniego miejsca.

Krzyki, nawoływania, wymysły mieszały się z ustawicznym zgrzytem łańcuchów wind, gwizdkiem oficerów, czy kapitana, dających w ten sposób rozkazy majtkom.

Rozgościwszy się w kajucie, w której mieliśmy zamieszkać przez kilka tygodni, zmieniwszy ubrania na podróżne, a sztywne koszule o twardech kołnierzach na miękkie flanelowe z wykład-

danemi kołnierzykami, wyszliśmy natychmiast na pokład, skąd można było doskonale obserwować ruch uwijających się łodzi koło okrętu, manewry zręcznych marynarzy na pokładzie, las kominów i masztów, z poza których, jak z poza lasu ogołconego z liści i gałęzi, błyszczał tysiącem światel tętniący życiem, wesoly, nocny Hamburg.

W całej naszej dotychczasowej podróży używaliśmy na zwiedzeniu nieznanych nam miast, na żegnaniu się z przyjaciółmi spotkanymi w Poznaniu tak, że na oddanie długu Morfeuszowi niewiele starczało nam czasu. To też, pomimo gorącej ochoty zobaczenia momentu odjazdu naszego transatlantyka z hamburskiego portu na pełne morze, nie mieliśmy siły dłużej jak tylko do 3-ej w nocy czatować na pokładzie. Zniecierpliwieni, a niepewni jak jeszcze długo „Prinz Sigismund“ może opóźnić swój odjazd, zeszliśmy do kajuty i w jednej chwili zasnęliśmy jak kamienie.

Mam wrażenie, iż mi się śniło, że słyszałem ryk syreny okrętowej, potem warkot śruby, a wreszcie kwartetem męskim śpiewaną pieśń emigrancką po niemiecku:

„Teure Heimat, seid gegrüst“.

Wiem, że gdy zbudziłem się i spojrzałem w zamknięte, okrągłe okno kajuty, moim oczom przedstawił się smutny pejzaż szaro-zielonego morza, urozmaiconego gdzieniegdzie piuropuszkami dymów z kominów okrętów, lub żaglami rybackich statków, stykającego się na horyzoncie z ołowianym niebem, z którego nisko przepływających, ciemnych chmur gęsto białymi płatkami padał ostatni raz widziany przeze mnie w tym roku śnieg. Nie byłem pewien w owej chwili, czy jeszcze kiedykolwiek będę oglądał te białe, topniejące

dziś natychmiast na falach morza płatki śniegu i czy widok ten nie jest dla mnie ostatnim w życiu.

I zaczęło się monotonne życie na statku, gdzie pasażerowie wiedzieli, iż przez kilka tygodni będą zmuszeni w tym samym towarzystwie, w tych samych warunków spędzić wspólnie czas, niby w jakimś sanatorium, lub więzieniu.

Tam na górze życie bogatych pasażerów pierwszej klasy możnaby porównać do wywczasu ludzi zmęczonych próżnowaniem w sanatorium jakiegoś kurortu.

Zaś nasze bytowanie pod pokładem, jak w klatce, przypominało trochę więzienie.

Ponieważ na statku nie było II-iej klasy, więc między górnym pokładem, a „zwischendeckiem” była olbrzymia różnica.

Wśród naszych bezpośrednich towarzyszy przeważali emigranci Niemcy — robotnicy. Tam, na górze oddawało się tysiącnym rozrywkom różnojęzyczne międzynarodowe towarzystwo.

Aż do Lizbony byliśmy we dwóch sami w dużej kajucie, przeznaczonej na 12-u pasażerów.

Zatrzymaliśmy się w Doovrze, Boulogne po parę godzin i dopiero na dłużej mieliśmy się zatrzymać w Leixos, najbardziej północnym porcie Portugalji.

Pomimo solennie postanowionej oszczędności, po tygodniu monotonnej podróży postanowiliśmy wysiąść na ląd stały.

Przebyliśmy już duże dość gwałtowne burze w Lamanche i Pas de-Calé, imponując towarzyszom podróży naszą wytrzymałością na dolegliwości morskiej choroby. Co do mnie i przedtem i później doświadczyłem wiele burz i nawałnic

morskich i jakoś nigdy nie chorowałem na tę przykrą słabość.

Nic dziwnego, że podróż morzem, a zwłaszcza oceanem uważam za rozkosz z niczem nie dającą się porównać, nawet z lotem aeroplanem, którego też jestem bezkrytycznym zwolennikiem.

Podczas najsilniejszego kołysania się okrętu z przyjemnością udawałem się na sam dziób statku, gdzie to bujanie najbardziej dawało się odczuwać i tu, trzymając się oburącz za wysoki drąg od flagi, rozkoszowałem się godzinami bajeczną huśtawką, obryzgiwany raz po raz słoń, orzeźwiająca falą morza.

Nieraz, gdy byłem w ciemniejszym ubraniu, to z mego stanowiska po takiej prysznicowej kąpieli wracałem do kajuty biały, jakby ośnieżony, tak obsiadała na ubraniu po wyschniętej wodzie sól morską.

Gdy „Prinz Sigismund” rano tuż po zachodzie słońca zatrzymał się zdala od portu Leixos (Lejsos), liczne łodzie tubylczych przewoźników oblegały kadłub statku.

Pierwszy raz wtedy miałem sposobność przekonać się, że ze znajomością języka francuskiego i z umiejętnością włoskiego o tyle, że nim mogłem się jako tako we wszelkich okolicznościach porozumieć, — niedaleko zajadę ani w Portugalji, ani w Brazylii.

Jeżeli chodzi o pisownię, to może portugalski język możnaby nazwać zbliżonym do włoskiego, ale wymowa jest absolutnie inna.

Pierwsze moje próby porozumienia się z portugalczykiem odbyły się na terenie targu, co do wysokości zapłaty za przejazd łodzią od statku do portu i z powrotem. Ponieważ poinformowali mnie

marynarze, ile powinienem za tę przejażdżkę zapłacić, więc starałem się po włosku narzucającemu się nam z usługami portugalczykowi wytłumaczyć moją propozycję.

Dziś nie dziwię się wcale, że portugalczyk na wszystko, co do niego po włosku mówiłem, wrzasał ramionami. Cyfry, od jednego zaczynając, prawie wszystkie po kolei piszą się we włoskim tak jak i portugalskim języku, ale wymowa jest absolutnie różna.

Naprzykład: pięć pisze się „cinque”—po włosku czyta się: „czinkwe”, a po portugalsku „sin-ku”.

Skończyło się na tem, że wreszcie porozumieliśmy się tym najprymitywniejszym esperantem wszystkich ludzi, od czasu, gdy na naszej ziemi ukazał się pierwszy „homo sapiens”—na migi.

Muszę się przyznać, iż wsiadając do wynajętej łodzi, byłem przekonany, że pięknie na brzegu malujące się miasto jest Oporto, co do którego byłem uprzedzony, iż będzie jedną ze stacyj dla naszego statku. Dopiero wysiadłszy na brzeg, po jakiejś godzinie przekonałem się o naszej pomyłce i to w dość dramatyczny sposób.

Spacerowaliśmy sobie po małym, pięknym, miasteczku, zmieniliśmy trochę naszych pieniędzy na portugalskie milrajsy, gdy nagle, znalazłszy się na brzegu morza, usłyszeliśmy charakterystyczny ryk naszej syreny, syreny „Księcia Zygmunta”. Za chwilę nasz okręt najobojętniej w świecie porzucił nas na brzegu obcego kraju, gdzie bez pieniędzy, bez jakichkolwiek rzeczy i znajomości portugalskiego—nie byliśmy chyba godni zazdrości. Spojrzeliśmy na siebie i Bolek zauważył, że może nasz

okręt zatrzyma się gdzieś w dogodniejszym miejscu, cokolwiek dalej. Gdzie tam...

Wkrótce pióropusz dymu jego trzech kominów zginał nam z oczu na południowej stronie horyzontu. Zaczęliśmy zaczepiać przechodniów, dopytując się, czyby nie wiedzieli, co by się stać mogło, że okręt, który miał najmniej 24 godziny ładować jakieś towary w Oporto, zatrzymał się tu tylko godzinę, nie uprzedziwszy o tej zmianie biednych pasażerów.

Wreszcie mój towarzysz natrafił na jakiegoś Niemca, który wytłumaczył nam, że miasto, w którym się znajdujemy, nie nazywa się Oporto, lecz Leixos, a to pierwsze jest o kilkanaście kilometrów wzdłuż brzegu oddalone od drugiego. Bardzo serdecznie podziękowaliśmy za tę pocieszającą wiadomość i za wskazówkę tegoż naszego rozmówcy wsiedliśmy do elektrycznego tramwaju, który skrócił nam o parę kilometrów naszą wędrówkę pieszą do upragnionego Oporto. Uspokojeni już zupełnie tem, że „Prinz Sigismund” w żadnym razie nie ucieknie nam, po długiej podróży na pokładzie kołyszącego się bezustannie statku, rozkoszowaliśmy się cudnym spacerem brzegiem oceanu, mijając przepiękne sioła, bajeczne ogrody, laski oliwne i eukaliptusowe.

W niespełna 4 godziny niezbyt forsownego marszu znaleźliśmy się wreszcie w Oporto i zaraz na brzegu zauważyliśmy nasz statek, na pokład którego nasi majtkowie przeladowywali jakieś paki z szalupy, która przyjaźnie tuliła się do potężnego cielska transatlantyka.

Po drodze, przechodząc przez liczne winnice, raczyliśmy się, krzepiąc w ten sposób siły, wybor-nem winem oporto, taniem tu, jak u nas woda so-

dowa, oszczędzając za to na jedzeniu. To też zwiedziwszy z konieczności kawałek Portugalji na piechotę, zapragnęliśmy znów znaleźć się na pokładzie statku linii „Süd-Amerika“, gdzie bez uszczerbku dla naszej kieszeni, moglibyśmy się obficie pożywić, przetrawieni... kilku szklankami wina i uciążliwym marszem.

Drugim etapem naszym na lądzie stałym była Lizbona.

Ponieważ „Prinz“ stał tutaj aż 2 dni, pozwoliliśmy sobie nawet zanocować w hotelu w stolicy Portugalji i być na operetce, z której ani słówka nie zrozumiałem.

Gdyśmy wrócili na pokład okrętu, zastaliśmy i naszą kajutę i wszystkie inne zupełnie zapelnione.

Okazało się, że w Lizbonie wsiadło znacznie więcej pasażerów na nasz statek, niż w Hamburgu.

Nasi nowi towarzysze podróży, byli to prawie wszyscy arabi i arabki z Syrii, mianowicie z Aleppo i jego okolic, tylko kilku było wśród nich Niemców. Właśnie Niemców umieszczono w naszej kajucie, zdaje się z rozmysłem, dobierając nam odpowiednie towarzystwo.

Obiady, śniadania i kolacje jadalśmy w wielkiej wspólnej sali, gdzie arabki zjawiały się tylko starsze. Młodszym mężczyźni nosili dania do ich kajut, w których kryły się dyskretnie przed okiem ciekawych Europejczyków! Widywałem je czasem i to przypadkiem, zawsze jednak z zakrytymi twarzami czarczafami.

Narazie przez parę dni, zanim nowi podróżni nie przyzwyczaili się do morskiej podróży, przy stole wspólnym bywało dość przestronno. I dopie-

już na jego poziomie, ten jakby bojąc się niosącego mu ratunek, puścił się w tej chwili, gdy majtek starał się go uchwycić i w jednej chwili znikł w odmętach oceanu.

Z pół godziny minęło, nim zatrzymano będący w pełnym pędzie okręt. Spuszczono łodzie ratunkowe. Oczywiście wszystkie próby odszukania już choćby zwłok topielca były, niestety, daremne. Kapitan odprawił natychmiast nabożeństwo, pokropił święconą wodą morze, które pochłonęło naszego współpasażera i ruszyliśmy dalej.

Dowiedzieliśmy się, że był to aktor trupy Sary Bernhard, która z nami jechała do Rio-de-Janeiro. Nieszczęśliwy, z powodu cierpień morskiej choroby, dostał pomieszania zmysłów.

Minęliśmy Maderę, jedną z wysp Kanaryjskich, Tennerifę, gdzie nasz okręt zaopatrzył się w węgiel i słodką wodę i wypłynęliśmy na pełny ocean, tracąc na dłuższy czas nie tylko ład stały z oczu, ale nawet wszelkie statki i łodzie.

Droga, którąśmy mieli przebyć, aby wylądować w Pernambuco jest, a przynajmniej wówczas była, bardzo mało uczęszczana.

Powoli traciliśmy z oczu Wielką Niedźwiedzicę i inne bardziej znane konstalacje północnego firmamentu, z którym się tak zżyliśmy, że prawie uwierzyć nie mogliśmy, aby na drugiej półkuli ziemi udało nam się ujrzeć inne konstalacje, niż te, pod których znakiem urodziliśmy się i dzieciństwo i młodość już szczęśliwie przeżyliśmy. To też z niecierpliwością oczekiwaliśmy przejścia przez równik.

Niebawem wystrzał armatni dał znać o tym doniosłym fakcie w monotonnej podróży. I zaczęła

się uroczystość „chrztu“ tych, którzy pierwszy raz w życiu przekraczali równik.

Uroczystość ta swoje początki znajduje w zamierzchłej przeszłości i prawdopodobnie od dawien dawna jednakowo, tradycyjnie obchodzoną bywa na wszystkich okrętach świata.

Wiele razy czytywałem opisy „chrztu“ równikowego, dużo też słyszałem opowiadań naocznych świadków tej oryginalnej zabawy i przekonałem się, że to, czego sam doświadczyłem, było w każdym szczególe identyczne z tem, co mi opowiadano, lub opisywano.

A więc na pokładzie rozpostarto brezentowy basen, napełniwszy go wodą morską, koniecznie z równika czerpaną.

Pasażerowie, przeznaczeni do ochrzczenia, uprzedzeni byli, aby do tej uroczystości, broń Boże nie ubierali się we fraki, lecz, przeważnie w jak najlżejsze ubrania.

Niby wprost z morza, po sznurowej drabinie zjawił się Neptun, marynarz z przypiętą konopianą brodą i koroną na głowie ze złoczonej tektury oraz trójzębem w dłoni.

Za nim wgramoliła się pani Neptunowa w peruce o długich włosach konopianych, na których wdzięcznie na bakier przekrzywiona, trzymała się tekturowa korona.

W bożku oceanu poznałem jednego ze starszych majtków, a w jego małżonce, chłopca okrętowego, który był specjalistą od mycia pokładu.

Neptun do zgromadzonych neofitów miał za bawną przemowę, poczem rozpoczął się sam „chrzest“.

Każdego z nas sadzano na brzegu basenu, Neptun oblewał każdego morską wodą, szepcąc

jakieś zaklęcia; zjawił się wtedy majtek przebrany za komicznego fryzjera, całą twarz i głowę ofiary obficie smarował mydlinami, podczas, gdy Neptun już następnego neofitę chrzczył po swojemu. Potem fryzjer wyciągał z za pasa olbrzymią brzytwę drewnianą z ostrzem srebrną farbą wymalowanem i tą deseczką niby twarz i głowę golił, zbierając z nich mydliny. Po tej operacji pani Neptunowa popychała oszołomionego, oślepionego mydlinami i ogłuszonego śmiechem obserwatorów, a już w ten sposób ochrzczony pasażer, gramolił się jak umiał z basenu, pełnego słonej i gorzkiej wody.

Obficie zlewany jeszcze strugami wody z sikawki, biedny nowoprzyjęty na łono Neptunowe, neofita, uciekał czempredziej do kajuty, aby tam od stóp do głów się przebrać. Potem następowało uroczyste wręczenie bardzo pięknie wykonanych, opatrzonych w podpisy Neptuna, kapitana i oficerów oraz w pieczęcie, metryki.

Z mojej metryki dowiedziałem się, iż otrzymałem imię „Klapperszlange“ (grzechotnik).

Ocean Atlantycki, jakby chcąc wynagrodzić nam monotonię podróży, roztaczał z każdym dniem, a zwłaszcza z każdą nocą, coraz wspanialsze cuda swych tajemnic przed naszymi oczami.

Fosforescencja, która każe błyszczeć wodzie oceanu na całej powierzchni — na załamaniach się fal, na grzywach białej piany sypie fontannami iskiei, co sprawia wrażenie jakichś fosforycznych pożarów, bajecznych fajerwerków.... Wszystkie żyjątka, ryby, meduzy świecą się jak jakieś fantastyczne latarnie. Nawet olbrzymie rekiny błyszczą całe pod powierzchnią fal, lub podrzucając się nad poziom morza.

A stale można ich obserwować całe stada. Bezustanku, spłaszczane szumem prutych dziobem okrętu fal, tysiące latających ryb pierzcha na boki statku, by przeleciawszy kilkadziesiąt metrów nad wodą, skryć się za chwilę w głębinach oceanu. Te latające potworki świecą też jak iskry w nocy, obserwowane przez okno pędzącego pociągu.

Wreszcie naszym oczom ukazał się, tak niecierpliwie wypatrywany „Krzyż Południowy“.

Jako mniej efektowny od naszej „Wielkiej Niedźwiedzicy“ trochę zawiódł nasze oczekiwania, musieliśmy się pocieszyć samem uświadomieniem sobie, że oto oglądamy ten oczekiwany, prawdziwy „Krzyż Południowy“.

Prawdziwą rozrywką w dość monotonnej podróży dla mnie były śpiewy chóralne, w których, jako dawny członek „Chótu Akademickiego“ w Krakowie, z upodobaniem brałem udział. Chóry te zorganizował jeden z oficerów. Śpiewali tylko Niemcy i ja jeden Polak. Czytanie z nut tem łatwiej mi przychodziło, że wiele numerów z ich repertuaru, nieraz w tłumaczeniu polskiem miałem sposobność śpiewywać w gronie kolegów z Krakowa.

Upały bywały nieznośne. W kajucie, mimo otwartego okna i drzwi na przestrzał do jadalnej sali, a stąd stałego przewiewu, upał bywał nocą nie do wytrzymania.

Pot oblewał nasze nagie ciała. Najmniejszy skrawek koszuli, lub prześcieradła parzył, jak gorąca blacha. Wyciągaliśmy wtedy, gdy tylko słońce, ukrywszy się za horyzontem, przestało operować, nasze sienniki na pokład, gdzie można było trochę odetchnąć orzeźwiającą wilgocią oceanu i poddać swe rozprażone przez dzień ciało koją-

cemu powiewowi morskiego wiatru. Za to, jak tylko słońce pierwszemi promieniami dawało znać o sobie, zmykaliśmy czempredzej do kajut.

Pewnego dnia jeden z naszych towarzyszy, Niemiec, zaspał na pokładzie, a niespostrzeżony przez nas, został parę godzin, wystawiony na prostopadłe promienie podzwrotnikowego słońca.

Gdy ukazał się we drzwiach kajuty, nietylko ja nie poznałem kto zacz, ale nawet jego koledzy cyrkowi. Twarz miał czerwoną jak płachta toreadora. Powieki rozczapierał sobie palcami, aby mózg spoglądać przez szparki zapuchniętych oczu. Nos, podbródek i owal twarzy zupełnie zmieniły swój charakter.

Jednem słowem przed naszymi zdumionemi oczami stanął obcy człowiek, który znajomym głosem robił swym kolegom wymówki, że żaden go nie obudził w krytycznym momencie wschodu słońca.

Biedak na parę dni poszedł do ambulatorjum i z trudem lekarzowi okrętowemu udało się go od śmierci uratować.

Kto żył wyległ na dziób statku na wieść, że ład widać.

Ujrzałem i ja siniejącą pręgę na horyzoncie nad zielonąwą linią morza, jak oddalony las za łąką w naszym kraju, Bóg wie na jak długo opuszczonym.

Serce zabiło mi na ten widok!

Wszak to Ameryka, ta ziemia obiecana, do której z takim zapalem dążyłem, a gdzie miałem długie miesiące przeżyć, nie zdając sobie w tej chwili sprawy, z czego przyjdzie mi się tam utrzymywać, czem zarabiać na chleb powszedni i czy wrócę kiedy

tam na północ, gdzie jest moja ojczyzna, rodzina, przyjaciele..,

Obserwując powoli zbliżający się mym oczom pierwszy port amerykański, w którym miałem wylądować, odrazu spostrzegłem różnicę tego nadbrzeżnego miasta od wielu z tych, które miałem sposobność oglądać w Europie, Afryce i na wyspach.

Budowle, roślinność, ludność Pernambuco nadają mu specjalnie południowo-amerykański charakter. Statek tu przybił do samego brzegu.

Z wielką przyjemnością wysiedliśmy całą kupą na ląd, otoczeni w jednej chwili rojem nagich dzieciaków murzyńskich z indyjskich oraz półnagich ich rodziców i krewnych.

Cała ta hałastra szwargotała coś po portugalsku zapewne, co miało ten skutek, żeśmy nie mieli pojęcia, czego te dzikusy chcą od nas, lub co nam proponują.

Bolek proponował im ze swej strony, coś w polskim języku i tylko dzięki temu nikt z nich nie czuł urazy do nieznanego przybysza.

Wśród różnokolorowego nadbrzeżnego tłumu w Pernambuco znalazł się jakiś dziennikarz brazylijski, który łamaną francuszczyzną starał się dowiedzieć od nas, skąd przybywamy i dokąd idziemy.

Chętnie wszedłem z nim w rozmowę, mając nadzieję, że dowiem się od niego wielu ciekawych rzeczy, które przez kilkotygodniową podróż przez ocean, zaszły w Europie, o czym wiedzieć nie mogłem, gdyż radjo w owych czasach jeszcze nie istniało, tak, że odbiwszy raz od brzegu, było się odciętym od świata i spraw jego, aż do chwili wylądowania u celu podróży.

Moi towarzysze z niezmiernem zainteresowaniem słuchali, gdym im tłumaczył, jak dziennikarz opowiadał mi, co w przeciągu miesiąca zdarzyło się po tamtej stronie oceanu. A były to wypadki epokowe.

Gdyśmy opuszczali Europę, dopiero rozpoczęła się wojna rosyjsko-japońska. Teraz z opowiadania brazylijczyka dowiedzieliśmy się, iż japończycy w dalszym ciągu byli zwycięzcami, iż wzięli Port Artura i t. d.

Dziennikarz, spotkany w porcie przez nas, ofiarował się nam na cicerone i nie opuścił nas aż do wieczora, oprowadzając nas gościnnie po swem rodzinnem mieście.

Na drugi dzień rano płynęliśmy już dalej na południe wzdłuż brzegów Ameryki. Wysiedliśmy jeszcze w Bahii, mieście, słynącym niegdyś jako centrala handlu niewolnikami i w parę dni okręt nasz wjeżdżał do największego portu na świecie—Rio de Janeiro.

Przy wjeździe do portu stolicy brazylijskiej, oczarowany byłem widokiem, jaki cudowna, podzwrotnikowa natura rozpostarła tu ku ucieście każdego przybysza.

Olbrzymia skała w kształcie głowy cukru, wznosząc się z fal morskich, jak potworny strażnik stolicy, dalej olbrzymie miasto, u brzegu stare o wąskich uliczkach, przypominające włoskie, a na stoku płaskowzgórza nowożytnie miasto, gdzie bogacze, europejscy ambasadorzy, konsulowie, kupcy mają swe pałace, wille, banki i urzędy.

Wzdłuż portu, ciągnącego się dwanaście kilometrów, setki okrętów, parowców, żaglowców, łodzi, skutrów, barek, motorówek i innych narzędzi

nawigacyjnych dawało pojęcie o znaczeniu handlowem, jakie w świecie posiada Rio de Janeiro.

Zanim nasz statek przybił do samego brzegu, oznajmiając swe przybycie rykiem syreny, od łądu z pośród stada spoczywających tam łodzi, odbiła się jedna i szybko zbliżyła do nas.

Na pokład weszli urzędnicy celni brazylijscy, przedstawiciel policji i lekarz.

Formalności zostały bardzo szybko załatwione. Nasz lekarz okrętowy zdał raport o stanie zdrowia załogi i pasażerów swemu brazylijskiemu koledze i nie legitymując się nikomu z naszych paszportów, otrzymawszy nalepki na nasze skromne bagaże, wnet byliśmy gotowi wkroczyć do bajecznego miasta.

Okręt przybił wreszcie do samego brzegu.

Przedtem już kilkunastu brazylijczyków zdołało wdrzeć się na pokład.

Byli to tragarze, ofiarujący pasażerom swe usługi, tłumacze i przedstawiciele hotelów.

Jeden z tych ostatnich wręczył nam adres hotelu „Colosso“, zachwalając go głównie z niskich cen. Spryciarz, przeczuł co nam w hotelu brazylijskim może najbardziej zaimponować.

Gdy statek dobił do brzegu, nagle dostałem tremy, jak nie przymierzając na scenie, gdym pierwszy raz spotkał się oko w oko z publicznością.

W jednej chwili uprzytomniłem sobie, że teraz zaczyna się właściwa awantura. Teraz bez środków do życia zostajemy wyrzuceni na brzeg, gdzie ludzie mówią zupełnie obcym nam językiem, gdzie nie przysiągłbym, czy znajdziemy choć jednego rodaka, który mógłby nam dać uczciwe informacje i rady, co dalej ze sobą począć.

I z tych powodów z pewnym zalem opuściłem pokład okrętu, na którym bez troski o jutro spędziłem okrągłe pięć tygodni.

Hotel „Colosso“ był niezbyt daleko od portu, a wejście na samym rogu dwóch krzyżujących się wąskich uliczek dawało mi pozór, że jestem gdzieś w Neapolu lub Genui.

Skorzystawszy z tego, że w hotelu była też i restauracja, zaraz po odpowiedniem przebraniu się, zeszliliśmy na dół, aby skosztować przysmaków brazylijskich.

Ku naszej radości dowiedzieliśmy się, że wszystko zarówno w hotelu, jak w restauracji zapisują tu na rachunek, który co tydzień trzeba regulować.

— Tydzień, to kawał czasu — zapewnił mnie Bolek — do tego czasu już coś zarobimy; wyrznięmy jakiś odczyt z deklamacjami, lub coś w tym rodzaju. Chyba przecież tutejszej kolonji polskiej nie często musi się trafiać podobna okazja, jak nasz przyjazd.

Tak. Miał on rację. Taka gratka nieczęsto polaków spotykała, a zwłaszcza, że ich wcale w Rio de Janeiro nie było.

Spotkaliśmy później tylko jednego polaka, z dwiema córkami, z których żadna po polsku nie mówiła, a w porcie podobno dałoby się paru tragarzy, naszych rodaków odnaleźć.

Ot i cała polonja w Rio de Janeiro.

Dowiedzieliśmy się, że kiedyś było tu towarzystwo imienia Kościuszki i rzeczywiście była garść emigrantów, nie wyłączając inteligentów, ale podczas gorączki emigracyjnej do Parany, wszyscy co do jednego polacy udali się na poł-

dnie, gdzie oczekiwał ich i klimat zdrowszy i odpowiedniejsze warunki bytu.

Jako władający nieco włoskim językiem, który ciągle jeszcze uważałem za pokrewny i to blisko z portugalskim, zabrałem się do zamawiania garsonowi śniadania w hotelowej restauracji.

— Prego pane e burro (proszę chleba i masła).

Rozśmieszony do łez kelner przyniósł bułki i zaczął się dopytywać, co jeszcze sobie życzę.

— Burro, burro — powtarzałem wyraźnie.

Zbliżył się do nas i drugi służący, z kuchni też wyjrzała jakaś kucharka i pomywaczka, przyglądając się nam pełnemi śmiechu oczami i szwargocząc coś ze sobą zapamiętałe.

Wreszcie na mi, w którym to porozumiewaniu się z ludźmi nie mówiącymi żadnym ze znanych mi języków, nabrałem w mych podróżach dużej wprawy, udało mi się zamówić masło, które po portugalsku zwie się „manteiga”. „Burro” zaś w tymże języku to... osioł.

Roześmieliśmy się też na całe gardło, domyślając się, jak tych brazylijczyków musiało zabrać dwóch europejczyków, żądających chleba z osłem. Ponieważ Bolek przezornie zaopatrzył się jeszcze w Krakowie w słowniki i różne metody samouczków języka angielskiego, wybierając się do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, więc teraz żadnej z nich pociechy nie mieliśmy. Na szczęście, przed samem wsiadaniem na okręt w Hamburgu, zaopatrzyłem się w słownik niemiecko-portugalski i takież samouczek.

Zacząło się teraz zwiedzanie jednego z najpiękniejszych miast świata, podczas którego to zwiedzania z każdą godziną przychodziliśmy coraz bardziej do rozpaczliwego przekonania, że nie-

ma marzenia, aby tu modz się w jaknajskromniejszy sposób utrzymać; że jesteśmy w zupełnie obcym otoczeniu, nie mając nikogo znajomego czy życzliwego, ktoby dał nam chociaż jaką taką praktyczną radę, bo już nie mówię o jakiejś pomocy materialnej w formie choćby noclegu.

I dziś jeszcze żałuję, że rozkosz oglądanych wtedy cudów ćmiło mi poczucie trudności i strapienia, jakie nastęrczą nam najbliższe dni.

Tylko mej młodości zawdzięczam to i wrodzonemu *laisser fair'yzmowi*, że wogóle miałem ochotę spacerować bez pieniędzy, często na głodno, po ulicach, parkach i ogrodach, nie mając pojęcia, co dalej ze sobą począć na obczyźnie, o jakieś kilkanaście tysięcy kilometrów oddalony od rodzinnego kraju.

Chociaż napewno te niewesołe myśli świdrowały nam każdemu zosobna skłopotane głowy, ale jakoś żaden z nas nie odezwał się do drugiego z niemal hamletowskiem, a w tej sytuacji oczekiwaniem zapytaniem:

— I co teraz?

Między różnymi ogrodami, licznie zdobitymi stolicę Brazylii, chcieliśmy wejść do „Jardino Publico”.

Przy wejściu przez żelazną bramę zatrzymał nas jednak czarny cerber, z którym w żaden sposób nie mogliśmy się porozumieć, co mu się w nas nie podoba. Gdyby jeszcze nie nazwa „Jardino publico”, moglibyśmy przypuszczać, iż jest to prywatny ogród.

Murzyn, pilnujący bramy, rozmawiając z nami, ciągle pokazywał nam na szyję, jakby ilustrując tym ruchem stryczek.

Bolek zrobił przypuszczenie, że może tam kogoś wieszają i nie puszczają dlatego publiczności.

Dopiero dwóch murzynów, wybierających się skrócić widać drogę sobie, przecinając ów publiczny ogród, wyjaśniło nam całą sytuację.

Obaj mieli na sobie jedynie krótkie kąpielowe majteczki; pozatem boso i bez koszul.

Przed wejściem do ogrodu wyjęli z kieszeni majtek białe, batystowe krawaciki i założyli je na gołe szyje, i dopiero tak wystrojeni weszli do parku.

My dwaj byliśmy w jedwabnych koszulach z takimiż sznurami zakończonemi pod szyją chwaścikami. Widocznie w przepisach dla publiczności uczęszczającej do „Jardino publico“ obecność krawata na szyi (mniejsza o to, czy gołej) otwiera bramy, jako legitymacja bezwzględnego dżentelmeństwa.

Kiedyśmy zwiedzali inny ogród „jardino botanico“, jeden z najwspanialszych na świecie zdarzył mi się wypadek, który jeszcze po raz nie wiem który upewnił mnie w tem, że przysłowia są mądrością narodów, a w tym wypadku jedno, twierdzące, że góra z górą się nie zejdzie, a człowiek i t. d.

Oglądając cuda flory podzwrotnikowej, reprezentowanej tak imponująco i obficie w „jardino botanico“, spostrzegłem olbrzymi pień palmy tak gruby, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Pień ten zaprzeczał absolutnie szablonowemu określeniu „wysmukła jak palma“.

Przypominał w swej objętości nasze stare dęby, a przynajmniej topole bardzo stare. Wokoło omszałej, obrosłej pasorzytniczemi roślinami

i ljanami palmy była ławeczka, na której z rozkoszą spoczęliśmy obaj, zmęczeni długim spacerem w upale podzwrotnikowym.

Na korze palmy owej widniały tysiące podpisów w różnych językach świata. Machinalnie czytając wyrżnięte na korze palmy nazwiska i dady, nagle zostałem porażony jak prądem elektrycznym, spostrzegłszy imię i nazwisko mego ciotecznego brata, z którym niegdyś, jako mały dzieciak bardzo się przyjaźniłem, a którego od kilkunastu lat nie widziałem.

Wiedziałem o tem tylko, a teraz sobie przypomniałem, że, gdy wybuchła wojna japońska, miał być wzięty do wojska, a nie chcąc służyć w rosyjskiej armji, emigrował do Brazylii.

— Czy też go tu gdzie spotkam? — pomyślałem sobie.

„Jardino botanico“ to wspaniały, trudny do opisanie w swej bajecznej krasie park, gdzie znajdują się okazy niemal wszystkie, jakie zna botanika.

Między innymi, naprzykład, jest tam dziewięćset rodzajów palm. Naturalna górzystość olbrzymiego terenu, na którym rozpościera się to królestwo Flory, sprzyja różnym wodospadom, kaskadom i innym urozmaiceńiom wodnym tego uroczego zakątka.

Liczne stawy, nieraz wielkie jak jeziora, na nich wyspy, wylaniające się z błękitów wód, jak bukiety, pałace się w podzwrotnikowym słońcu tysiącem kolorów, upstrzone bajecznymi kwiatami, o jakich nigdy nie słyszałem, dają oku coraz to nowy, zachwycający widok.

Dokoła pachną magnolje tak upojnie, że doprowadza to do migreny, gdy się tam dłużej po-

zostaje. Wystarczy jednak stamtąd zaraz, gdzie jest królestwo tych odurzających kwiatów, udać się do lasu eukaliptusów, a orzeźwiająca, balsamiczna woń tych olbrzymów wnet leczy chwilową niedyspozycję. Oczywiście, drzewa owocowe kwitną tu piękniej, plonują obficie i wspanialej niż u nas.

Spacerując po bardzo czysto utrzymanych drogach i alejach ogrodu, napotykalśmy zwierzęta, które spostrzegłszy nas, wybiegały pospiesznie z krzaków, nagabując nas widocznie o jedzenie. Były tam kangury, jakieś sarenki, jakieś nieznanymi ptaki, przypominające nasze kury, ale o różnym upierzeniu i na tak wysokich nogach, jak bociany.

Tak musiał wyglądać raj, jak „jardino botanico“ w Rio-de-Janeiro.

— — — — —

Upał dawał nam się we znaki. Tutejsi stali mieszkańcy do godziny 5-ej po południu prawie wcale nie ukazują się na ulicach, dopiero nad wieczorem miasto ożywia się i ruch uliczny zaczyna przypominać Paryż. W dzień w mieszkaniach wieszają prześcieradła na sznurach i zwilżają je stale wodą. Bez tego zabezpieczenia oddychanie byłoby zbyt utrudnione skutkiem nadmiernej suchości powietrza. Taki sam objaw można u nas obserwować w mieszkaniach z kaloryferami. Myśmy nie naśladowali tubylców i od samego rana tułaliśmy się po uroczym mieście, zlewani obficie potem, zachwyceni tem, cośmy widzieli i nosząc w duszy

dyskretnie skrywaną troskę, skryształizowaną w kłopotliwym milczącym zapytaniu: „co dalej?“

Z dziesięć dni spędziliśmy w Rio, nic nie postanowiwszy i nie mając żadnych planów nietylko na dalszą przyszłość, ale nawet na najbliższe jutro.

W hotelu, chwala Bogu, nie bardzo przyciskano nas o wyrównanie rachunku. Zupełny jednak brak gotówki, rewizja naszych kieszeni i kieszonek, która wykazała pozostałość paru groszy z naszych byłych funduszków, zmusiły nas do konkretnego pomyslenia, co dalej zrobić. Naprzód trzeba było się zastanowić, jak ulokować te resztki naszej fortuny. Zastanawialiśmy się długo, z namysłem, jakby to chodziło o rozporządzenie majątkiem.

Hotel, wprawdzie nie groził nam jeszcze eksmisją, ale nie okazywał skłonności żywienia nas nadal na kredyt. To też rzuciłem projekt, aby za te resztki naszych funduszków kupić pieczywa, co by, bądź co bądź, przedłużyło okres czasu między głodem a konaniem z niego. Brak tytoniu dawał nam się jednak też mocno we znaki, tembordziej, że już przywykliśmy trochę do znakomitych cygar (*szarutos*) i papierosów tutejszych o czarnym tutoniu zawiniętym w słomę kukurydzy (otaczającej kaczan). Ostatecznie, zważywszy, iż nikotyna zabija apetyt i maskuje głód, za ostatnie pieniądze kupiliśmy parę cigar.

Pałac je, leżeliśmy w hotelowym numerze, każdy na swem łóżku, zastanawiając się, co nam wypada począć na tem wygnaniu bez środków do życia.

Zielone, drewniane sztory, szczelnie pozapuszczane, wywoływały mrok tajemniczy. Pod su-

fitem widniało białe prześcieradło zmoczone, jak obłok niosący nam cokolwiek wilgoci.

Przedostatniem wyjściem z tego krytycznego położenia wydawało nam się udanie się do swych konsulatów o pomoc finansową, która zapewne skończyłaby się odesłaniem nas szupasem do miejsc zamieszkania. Jeczcie mój towarzysz mógł mieć mniej ode mnie skrupułów, decydując się na wyżej wymienioną „przedostateczność”. Jego konsulat był austriacki, ja zaś wprost nie mogłem sobie wyobrazić zjawienia się mego w konsulacie rosyjskim. To wyjście, nad którym się właśnie posępnie zastanawialiśmy, dlatego nazwałem „przedostatecznością”, gdyż zaraz poza niem było już tylko chyba rzucenie się z bulwaru w fale oceanu.

O telegrafowaniu o pomoc finansową do naszych rodzin nie mogło być mowy, gdyż koszt depeszy był tak olbrzymi, (13000 kilometrów kabla podmorskiego) wynoszący 5 milrajsów od wyrazu, (1 milrajs wówczas miał 80 kop, czyli 2 korony austriackie), że gdybyśmy mieli pieniądze na telegramy, to kwota wspólna zapłaciła by nam hotel i dała podstawy do dalszej egzystencji i poszukiwania zarobku.

Raptem, w momencie ponującego między nami milczenia, gdyśmy łamali sobie głowy nad zawiłą nie do rozwikłania łamigłówką, dał się słyszeć sygnał alarmowy na trąbce, hałas na ulicy i tętent kopyt końskich po bruku. Podniósłszy sztory, ujrzeliśmy straż pożarną, pędzącą do ognia.

Bolek, który pierwszy raz widział straż ogniową w Brazylii, zainteresował się jej sprawnością w potrzebie i nic nie mówiąc, wdział szybko marynarkę, schwycił czapkę i wybiegł z pokoju. Po-

zazdrościłem mu tej beztroskliwości. Natychmiast za lada podniętą potrafił oderwać się od ponurych myśli, które mnie zaczynały już nienazarty trapić i nawet złote usposobienie towarzysza, pełne optymizmu, jakiego już później u nikogo nie spotkałem, jego lekkomyślność boska, jego beztoski uśmiech nie zdołały wlewać otuchy w moją stroskaną duszę. Mówiłem sobie:

— Oto, skończyła się zabawa, skończyła wesoła wycieczka i awantura podróżnicza przekształca się w położenie bez wyjścia, w dramat...

Długo mego towarzysza nie było.

Nie miałem wątpliwości, iż udał się do porażu.

Gdy tak rozneglizowany, leżałem na łóżku z rękami pod głową, a przyszedłszy do przekonania o bezowocności moich namysłów, starałem się o niczem nie myśleć, a przez to mniej cierpieć moralnie, nagle!

Niel To chyba sen!

Faktycznie, narazie miałem wrażenie, że zdrzemnąwszy się, śnię...

Usłyszałem tuż pod drzwiami mego numeru rozmowę po polsku.

Właśnie obok tych drzwi na korytarzu stał kantorek, na którym leżała olbrzymia księga, gdzie podróżni, lokatorowie hotelu „Colosso” wpisywali na pamiątkę swe nazwiska. Zastosowywał się do tego, kto chciał, jak na kopcu Kościuszki w Krakowie, lub w grocie smoka na Wawelu, gdyż żadne meldunki nie obowiązywały wtedy. (Jakież to dziki był kraj. Bez biurokracji, bez przepisów obowiązujących, bez paszportów, wiz, po-

zwoleń, zabraniań, zakazów i t. p. Dziki kraj!... Kochany, niezapomniany kraj!..)

— — — — —

Oczywiście, jak prądem elektrycznym rażony, skoczyłem z mego łóża madejowego na równe nogi i zarzuciwszy na gołe plecy płócienną marynarkę, w jednej chwili znalazłem się na korytarzu. Jakaś pani mówiła tam:

— Przejrzyj, Janku, czy w tej księdze niema jakich polskich nazwisk. Może kiedy mieszkali tu nasi rodacy?

Moje nagłe zjawienie się twarz w twarz z dwojgiem nieznanym wywołało u nich pewien przestrah. Wygląd mój nie mógł budzić zaufania w całość moich władz umysłowych.

— Nie szukajcie, państwo, martwych podpisów w pamiątkowej księdze, — zawołałem z emfazą — oto żywy rodak stoi przed wami.

Pod słowem honoru, dama rzuciła mi się bez namysłu w ramiona. Po pewnej chwili w jej ślady poszedł jej małżonek, przeczekawszy chwilę niecierpliwie w ogonku na swoją kolej.

Wprowadziłem ich momentalnie do mego numeru, gdzie, przyglądając się sobie nawzajem, ciągle japońsko uśmiechnięci, zaczęliśmy bezładną rozmowę. Po przedstawieniu się wzajemnem. (Co nas, zresztą obchodziły w tej chwili nazwiska!) pani wyraziła radość, że tak niespodzianie zaraz na wstępie spotkali rodaka już tu zamieszkałego, który będzie mógł dać im zbawienne rady, co ze sobą mają robić, jak działać, gdyż chcą nazawsze

zainstalować się w Brazylii, a powrót do kraju mają odcięty.

Mój Boże, co za naiwność. Ja, ja miałem dawać rady, ja najbezdradniejszy w tej chwili, wśród bezradnych. Natychmiast rozwiąłem ich nadzieje różowe na moją pomoc moralną i wyłuszczyłem bez obsłonek moje i mego towarzysza położenie.

Z kolei dowiedziałem się, że państwo D. pochodzą z Portu-Artura, gdzie mąż zajmował jakieś dobre i korzystne stanowisko.

Gdy wybuchła wojna, a jego, jako zapasowego oficera, a już nie takiego znowu młodzika powołano pod broń do wrogiej nam armji, oboje państwo D. w towarzystwie jeszcze dwu młodych ludzi przeszwarcowali się na dżonce na pełne morze, gdzie wsiedli na okręt, z którego właśnie przed chwilą wylądowali. Dwaj młodzi ich towarzysze podróży mieli za chwilę się zjawić, gdyż zostali jeszcze na pokładzie, aby przypilnować wylądowania bagaży całego towarzystwa.

Pan D. poinformował mnie, iż ma pewien kapitałik, który chciałby użyć w ten sposób, aby przy jego pomocy i własnej pracy, mógł spokojnie w Brazylii przepędzić drugą część swego życia. Byli w podróży pół roku. Nie z tego pewnie powodu, ale byli głodni.

Ogarnawszy się trochę, zaprowadziłem ich do restauracji na parterze, gdzie duże okna, wychodzące na ulicę, pozwalałyby nam spostrzedz, zbliżających się z portu z bagażami młodych towarzyszy państwa D.

Na łóżku Bolka w numerze zostawiłem kartkę, na której napisałem, iż oczekuję go w restauracji na dole.

Wyobrażam sobie, jak on się zdziwi, nie zastawszy mnie w pokoju, a jeszcze bardziej, gdy dowie się, iż odważyłem się wejść w paszczę lwa — do restauracji, gdzieśmy byli kupę grosza winni.

Popisywałem się tu przed nowymi przybyszami znajomością potrugalskiego języka i potraw brazylijskich. Wkrótce zjawili się dwaj młodzi chłopcy, jeszcze młodszy odemnie i tak w piątkę bardzo mile spędziłyśmy czas, gawędząc, a w ten sposób zaznajamiając się nawzajem.

Po zaspokojeniu głodu, (Boże! Ile ja wtedy zjadłem!) po zapłaceniu przez zacnych przybyszów z dalekiego Wschodu naszego całego rachunku w restauracji, byliśmy właśnie przy czerwonym winie, tańszem niż barszcz, a lepszem, niż u nas niby prawdziwe francuskie, gdy zjawił się zdumiony Bolek.

Oczy wybałuszył, jakby cud jakiś zobaczył. Po chwili poinformowany przeze mnie, zapoznał się z całym towarzystwem i przysiadł się do dużego stołu. Pani D. zaproponowała, aby, nie krępując się, zamówił sobie coś do jedzenia, zawiadomiła go o wyrównanym rachunku i o tem, że już postanowiliśmy się przynajmniej narazie nie rozstawać i biedować wspólnie (ładne biedowanie) wódka, (cachasu welha) ryba, mięso i czerwone wino krajowe (vinho nazionale)—aż do ustalenia się ostatecznego każdego z osobna członków, w tej chwili skleionej kompanji pionierów Południowej Ameryki.

— — — — —

Okazało się, że państwo D. daleko lepiej byli poinformowani o stosunkach brazylijskich, więcej wiedzieli o emigracji, jej zasadach i prawach, niż my. Przygotowali się, jak się okazało, bardzo skrupulatnie przed wylądowaniem, aby nie być na obczyźnie, jak tabaka w rogu. Mieli jakieś samouczki języka potrugalskiego, słownik, podręczniki dla emigrantów, wiadomości geo i etnograficzne Brazylii, dane statystyczne i t. d. Zaopatrzyli się w to wszystko gdzieś po drodze, w którymś z miast europejskich.

Dość, że nietylko pomoc finansową nam okazali w formie pożyczki długoterminowej, ale i radą na obczyźnie mogli nam służyć i to bardzo skutecznie. Pod pana D. kierunkiem udaliśmy się do instytucji rządowej, opiekującej się emigrantami. Zarejestrowano nas w biurze, wydano nam jakieś papiery, zapytano, dokąd mamy zamiar się udać, na co pan D. w imieniu całego towarzystwa odpowiedział, iż do Parany i wraz z bagażami dużą motorówką wysłano nas na wyspę Kwiatów, (*Ilha das Flores*) jak egzotyczny bukiet, wylaniającą się z fal Atlantyku naprzeciw portu Rio-de-Janeiro.

Ulokowaliśmy się w olbrzymich barakach, które pomieścićby mogły z 1000 ludzi, a może i więcej.

Te baraki były zbudowane specjalnie dla emigrantów [w tym czasie, gdy fala emigracji z Polski pchnęła tu masę rodzin naszych i rusińskich chłopów. Tym razem, oprócz nas sześciorga, nie było więcej nikogo.

Zasypiając na rogoży [rozesłanej bezpośrednio na podłodze, dziękowałem sobie w duchu, że nie zabrał ze sobą na tę tułaczkę i ponieważ

młodej artystki z Poznania. Wyobrażam sobie ją tutaj w baraku na rogoży. Z naglej miłości mój kamrat gotów był ją wpakować w ładną kabałę.

Po przejściu od zupełnej beznadziejności w stan gorączkowego podniecenia nową sytuacją i ciekawie rysującą się w naszej wyobraźni przyszłością, byliśmy upojeni, (choć pozbawieni wygód, ale też i troski o codzienne jutro), życiem na wyspie kwiatów.

Małeńka wysepek otoczona ze wszystkich stron plażą, porosła bujnie drzewami i kwiatami, od których obfitości, zapewne, otrzymała swą nazwę, położona pośród morza, jest cudnym, jak z bajki, zakątkiem, gdzie przeżyłem jedno z najmilej wspomnianych trzy tygodnie.

Upajający zapach kwiatów, z których niejedne swą wielkością przypominały chińskie wazy, ćwierkanie miniaturowych, jak nasze łątki, kolibrów, gdzie spojrzeć bajeczne widoki to sąsiednich wysepek, z których niejedne były tak małe, jak kłębiki, wystające z wody, to znów wspaniałej panoramy Rio-de-Janeiro z głową cukru, Pao d'assucar, stojącą na straży olbrzymiego portu, pewność codziennych bardzo smaczych posiłków, które nic nie kosztują — wszystko to napawało mnie otuchą na przyszłość i nie pozwalało najmniejszej trosce zajrzeć do mej młodej, lekko myślnej głowy.

Leżeliśmy na plaży, lub w cieniu palm i tacu-ary (olbrzymiej trzciny, podobnej do małych, gęsto rosnących palm). Opowiadaliśmy sobie nawzajem dzieje swych przeżyć i tak schodziły nam dni tak lekko, (przynajmniej mnie) swobodnie i bez troski, jak, nieprzymierzając, cała młodość.

Snuliśmy różne plany na przyszłość. Zapoznaliśmy się z podręczników z warunkami, w jakich mamy się znaleźć w Paranie. Tak oczekiwaliśmy (bez niecierpliwości) sprzyjającego naszemu celowi rządowego statku, który miał nas zawieźć na koszt Brazylii do portu Parany — Paranagua.

Wieczorami, pijąc wyborną kawę, lub mniej świetną herwę — matę (brazylijską herbatę) uproszony przez mych towarzyszy, chętnie śpiewałem różne pieśni w znanych mi językach, z których polski oczywiście dominował. We wrotach baraków stawali wtedy nieliczni mieszkańcy wysepki — „gubernator” z żoną i dwiema córeczkami, służąca ich — murzynka, dozorca baraków z rodziną i tutejszy policjant, jedyny przedstawiciel władzy wykonawczej na wyspie Kwiatów.

Niektóre moje popisy wokalne całe to grono słuchaczy gorąco oklaskiwało, żądając bisów.

W ten sposób powstała moja znajomość ze stałymi mieszkańcami wyspy, która po paru dniach zmieniła się w zażyłość, niemal w przyjaźń.

„Gubernator” zagadnął kiedyś mnie po francusku, skąd się tu wzięłem wraz z moimi towarzyszami niedoli i kto zacy jestem. W jego zaciekawieniu się nami czytałem wyznanie, iż pierwszy raz od czasu, jak tu urzęduje, natrafił na tego rodzaju imigrantów. Dowiedziawszy się, że jestem aktorem i byłym studentem uniwersytetu, że władam paru językami, „gubernator” wrócił do swych córek, które zdala z ciekawością nas obserwowały i widać objaśnił je, co do jakości nowych imigrantów, gdyż uśmiechały się do nas uprzejmie w miarę jego opowiadania. W końcu przedstawił mnie tym paniąkom. Zbliżka wydały mi się jeszcze piękniejsze niż zdaleka. Z pochodzenia hisz-

panki w wieku od 14-tu do 16-tu lat, o pięknych i szlachetnych rysach, podając mi delikatne rączki, w uśmiechu odsłaniały bajecznej białości cudowne zęby. Ogorzałe twarzyczki tych wygnanek prawie bezludnej wyspy, bo zaludniającej się rzadko w razie przyływu większych transportów imigrantów, — były ożywione zaciekawieniem i radością z sensacji, jaką smać dla nich była obecność na wyspie dziwnych i niezwykłych imigrantów.

Zaprosiły mnie do swej willi, co bez wahania i z przyjemnością przyjąłem. Wspaniała willa, z komfortem urządzona, była smać obliczona na zabezpieczenie jaknajwiększej wygody rodzinie urzędnika państwowego, który nieczęsto ma sposobność opuszczać wyspę. Paniąki gwarzyły jedna przez drugą, opowiadając mi swoje życie, lub z kolei, dopytując o szczegóły mego, lub o przyczyny, które skłoniły mnie i mych towarzyszy do puszczania się na tak awanturniczą wyprawę. Pokazały mi swój dom, salon bogato, lecz niezbyt gustownie urządzone, gdzie ściany, miast oryginałów, zdobyły oleodruki. Zato zaimponował mi fortepian Steinwaya, zarzucony mnóstwem nut różnego rodzaju. Wśród nich dominowały utwory Szopena, Czajkowskiego i lżejszy repertuar wiedeńsko-paryski. Ale gdym poprosił, aby mi coś zagrały, gdyż dawno fortepianu nie słyszałem, starsza z nich usiadła do instrumentu i bez namysłu zagrała mi „Modlitwę dziewicy“ Bondarzewskiej. Widać był to ulubiony „kawałek“ jej i pewnie jej zwykłych słuchaczy. (Potem miałem sposobność się przekonać, że w Południowej Ameryce w najbardziej od cywilizowanego świata oddalonych zakątkach, gdzie jednak znalazło się jakie takie pianino, Bondarzewska i jej „Modlitwa dziewicy“ były znane

i faworyzowane najbardziej wśród plejady kompozytorów i ich dzieł).

W mojem towarzystwie nie tylko córki, ale i ich rodzice, jak zdołałem wyczuć, znaleźli rozrywkę i urozmaicenie monotonnego życia na wyspie Kwiatów. Byłem u nich stałym gościem i gdy nie chcąc się naprzykrzać ze swą osobą proletariusza w wykwintnej willi, zbyt długo nie zjawiałem się tam z własnej inicjatywy, przysyłano służącą, lub któraś z pańienek zjawiała się, aby mnie zaprosić i obdarzyć wymówką, iż o nich zapominam.

Przeżyłem tam trzy najpiękniejsze tygodnie. Dwadzieścia dni beztróskich, pogodnych, urozmaiconych przytem lekkim, jak pyłek kwiatów sentymentem. Młodsza z córek gubernatora, zbyt młoda (dziecko prawie) aby ukryć lub zamaskować jakiegokolwiek uczucie, nie potrafiła, biedaczka zataić przedemną, że częste spacery po uroczej wyspie ze mną o księżycu, przy akompaniamencie fal oceanu, szeptem prowadzone nieskończone rozmowy, wreszcie obecność młodego chłopca tu, gdzie na bezrybiu i rak ryba, wszystko to w jej dziewiczym serduszku wzbudziło, widać, pierwsze niepokoje. I sympatja, jaką mnie darzyła cała rodzina gubernatora, u najmłodszej latorośli powoli przeradzała się w nieokreślone uczucie przyjaźni, która z kolei, gdyby nie krótkość czasu mego pobytu na wyspie, mogłaby pozbawić dziewczęcia na dłuższy czas może spokoju z racji mego odjazdu.

Przejdzie od dnia do nocy na równiku i w bliskości jego jest krótkie i gwałtowne. Zaledwie czerwona tarcza słońca zniknie na horyzoncie, a już noc ciemna okrywa świat podzwrotnikowy.

Niema tu zmięzchu i gwałtownie obniża się temperatura. Oczywiście nie jest chłodno, ale różnica między upałem dnia, a ciepłem nocy narazie daje się odczuć lekkim dreszczem. To też dziś nie mogę sobie zdać sprawy, czy, gdyśmy z młodą hiszpaneczką sam na sam siedzieli na darniowej ławce pod wysoką palmą kokosową, a ja zachwyciałem się zachodem słońca i wspaniałą grą jego ostatnich promieni na powierzchni oceanu, — nie jestem pewien, czy, gdy nagle ciemność zaległa, którą księżyc zaczynał powoli rozsrebrzać, — dreszcz odczuwany w podanej na pożegnanie dłoni bywał natury temperaturowej czy też, że tak powiem, temperamentowej.

Z podwójną przykrością dowiedziałem się w 3-im tygodniu mego pobytu na wyspie das Flores, że jutro nasz okręt rusza dalej na południe, do krajów, gdzie tajemnicza przeszłość uśmiechała mi się wcale nieróżowo.

Pierwszą przykrością odjazdu z tej uroczej wyspy było przekonanie, że, oto, opuszczam ten cudny zakątek świata zapewne (prawie napewno) na zawsze, gdzie, bądź co bądź, przeżyłem parę najmiłszych, najbardziej pozbawionych trosk materialnych i moralnych, tygodni. Drugą zaś — poczucie, że teraz znacznie się walka o byt, wśród nieznanym mi warunków, bez środków materialnych, wśród obcych ludzi. Skończył się flirt z życiem w Ameryce, a zacząć się miała walka. Brrr... Dreszcz mnie dziś jeszcze przejmuje na wspomnienie ówczesnego nastroju mego ducha.

Na wiadomość o odjeździe jutrzejszym byłem, jak to mówią, zupełnie pafnięty.

Moja hiszpańska sympatjka, zbyt dobrze wychowana, aby otwarcie okazać wrażenie, jakie na

niej blizkie nasze rozstanie zrobiło, jednakże najwidoczniej posmutniała. Doprawdy, że ten objaw sympatji, wzruszył mnie do głębi i gdy powiedziała, że się już nie zobaczymy, gdyż cała rodzina jedzie dziś jeszcze wieczór na występ Sary Bernhard do Rio-de-Janeiro, w przyplwywie jakiegoś żalu, poczucia czegoś skończonego i niepowtórzonego, chwyciłem jej drobną, delikatną rączkę i przycisnąłem do ust. Wyrwała mi ją skwapliwie, prawie brutalnie, jakby obrażona za moją zuchwałosc i więcej jej nie widziałem.

Potem się dopiero przekonałem, będąc już w Paranie, iż pocałowanie kobiety w rękę jest czemś bardziej nieprzyzwoitem, niż w twarz. Jest to niesłychany shocking, który u pewnej starszki wywołał okrzyk takiego przerażenia, jakby mnie wzięła za furjata. Potem ta starszka tłumaczyła mi, że narazie, gdym zbliżał usta do jej dłoni, myślała, iż chce ją ugryźć i że się wściekłem. Ale przed opuszczeniem wyspy Kwiatów nie byłem świadom zwyczajów brazylijskich. Mój Boże i nigdy później nie dowiedziałem się i już się nie dowiem, czy uroczą mieszkanka wyspy des Flores przebaczyła mi mój nieświadomy błąd kiedykolwiek.

Gwizd motorówki u brzegów wyspy wieścił nam nasz rychły odjazd na poszukiwanie nowych wrażeń. Wsiadliśmy do statku: moi towarzysze radzi ze zmiany położenia, ja — ze smutkiem i z przecuciem trudności i przeciwności, jakie mnie czekają. Motorówka szybko oddalała się od bukietu

wyspy, która malała, nikła we mgle porannej, zasnuwającej ją, w miarę oddalania się statku, coraz gęstszym woalem. Wreszcie ilha das Flores utonąła w odmętach morza. Odwróciłem oczy od rajy utraconego i zwróciłem je w przeciwną stronę. Tu zobaczyłem przy zbliżaniu się statku rosnącą szybko w dali olbrzymią panoramę wspaniałej brazylijskiej stolicy.

Niewielki statek, który był celem dla naszej motorówki, torującej sobie drogę pośród łódek, kutrów, statków i dwunastu wojennych okrętów, parował dymem i parą, jakby z niecierpliwości w oczekiwaniu na ostatnich spóźniających się pasażerów. Wnet wyładowano nas wraz z bagażami na pokład tak niewielkiego okrętu, że wśród innych olbrzymów oceanicznych wydał mi się niewiększym od naszych statków wiślanych. Odrazu na wstępie uderzyły mnie różnice między wewnętrznym i zewnętrznym wyglądem tego rządowego statku brazylijskiego, a wyglądem okrętów najskromniejszych, pochodzenia europejskiego. Najprzód, cała obsługa, nie wyłączając kapitana i lekarza, składała się z murzynów, co nadawało pokładowi specyficznie egzotyczny i oryginalny dla nas charakter. Zauważyłem również, że okręt nasz nie świecił tak wzorowym porządkiem i czystością jak statki niemieckie, angielskie, lub francuskie; ba nawet włoskie były wzorem nie do naśladowania dla brazylijskich. Podróż nasza, jak się dowiedziałem, miała trwać 4 dni wzdłuż brzegów Ameryki na południe do portu Parany, Parana-gua.

Rozejrzałem się wśród pasażerów: byli to wszystko trzecioklasiści. Pasażerów klasy pierwszej było zaledwie parę osób, które dotrzymywały

towarzystwa na górnym pokładzie kapitanowi, dwom oficerom i lekarzowi. W Północnej Ameryce nie mógłbym zaobserwować podobnego zjawiska, żeby murzyn kapitan i równie czarni oficerowie zasiadali do jednego stołu z białymi damami. Wśród moich bezpośrednich czterodniowych towarzyszy znalazłem naszą polską babę z pod Radomia, która jechała do syna, oddział żołnierzy, przeznaczony zapewne do uśmierzenia jakiejś rewolucji w oddalonych stronach Brazylii i trochę włoścuzgów o nieokreślonym charakterze, a jeszcze trudniejszej do określenia rasie i narodowości: metysi, kreole i mulaci w kombinacjach mulato-kreolów i kreolo-metysów.

Odniosłem wrażenie, że kapitan naszego statku oczekiwał już tylko na nasze przybycie z wyspy Kwiatów, gdyż ledwie ostatnie nasze bagaże pośpiesznie przerzucono z motorówki na pokład, a już dał gwizdkiem sygnał, który syrena okrętu wa zagłuszyła swym rykiem, tysięcznym echem odbijającym się od amfiteatru rysującego się w niewielkiej odległości Rio-de-Janeiro.

Gromadka ciekawych, wśród których zapewne byli i odprowadzający lub żegnający niektórych z moich obecnych towarzyszy podróży, stała na skraju betonowego wybrzeża, obserwując odjazd. Powiewały tam kapelusze mężczyzn i chusteczki kobiet. Wszyscy pasażerowie ruszającego z miejsca statku, bez względu na to, czy mieli na brzegu znajomych, czy nie, powiewali przyjaźnie w stronę gromadki pozostających w stolicy i jedni, żegnając krewnych, czy przyjaciół, inni, jak ja, naprzykład, pozdrawiając to cudne, niezapomniane miasto. Nagle zdało mi się, iż wśród gromadki żegnających

nas ludzi spostrzegłem nieobcą mi, a zupełnie obojętną postać w białej pikowej sukience, dobrze znanego mi kroju. Ta osoba o oliwkowej cerze i czarnych kędziorach, niesfornie falujących na wietrze, rozczochranych z pod zdjętego kapelusza słomianego, powiewała nim jakby specjalnie w moją stronę. Okręt szybko się oddalał i mimo najszczerzych chęci nie mogłem się upewnić, czy była to rzeczywiście moja znajoma z wyspy Kwiatów, czy też ktoś do niej podobny. Rów iez dziś nie mogę twierdzić, że ta panienska właśnie mnie przyszła pożegnać z oddali i czy wyłącznie w moją stronę wachlowała kapeluszem i stała pożegnalne spojrzenie.

Podróż aczkolwiek, jak na me doświadczenie, trwała krótko, gdyż tylko 4 dni, ale była zato bardzo męcząca i pozbawiona wygód.

Statek płynący blisko brzegów, a zwłaszcza małych rozmiarów, podlega, tak zwanej, krótkiej fali, która nim kołysze raz koło razu, szybko i bezustannie. To bujanie miało fatalny skutek. Mimo bezchmurnej pogody, morze było bardzo niespokojne i burzliwe, wicher poprostu szalał. Dosłownie wszyscy, prócz mnie i Bolka, którzy bohatercko tylko we dwóch oparliśmy się morskiej chorobie,— wszyscy reszta poddali się jej i jej gwałtownym objawom, co bynajmniej nie przyczyniło się do zmiany mego przekonania, co do brudów panujących na brazylijskich statkach,—owszem, przeciwnie. Nawet kapitan wydawał rozkazy, sianając się na nogach i od czasu do czasu składając ofiarę Neptunowi.

W czasie monotonnej podróży, podczas której miałem sposobność obserwować jednostajny brzeg

Ameryki, przeważnie płaski o charakterze pustynno-kamienistym, zdarzył się jeden incydent, w który i ja byłem przypadkowo wmieszany.

Oto, kiedyś, prawdopodobnie skutkiem śmiertelnych nudów, a więc chyba jedynie dla rozrywki, jeden z żołnierzy, murzyn w moich oczach, ziewnawszy, wyciągnął, jakby się przeciągając żyłaste kulaki przed siebie i uderzył niemi w głowę pasażerkę, właśnie ową kobietę z pod Radomia. Nie spodzianie otrzymawszy cios, baba zaczęła drzeć się w niebogłoso. Zrobiło się zbiegowisko. Oskarżyłem przed kapitanem znudzonego żołnierza i, dla rozrywki zapewne, kazał go natychmiast zakuć w kajdany i aż do końca podróży schować go na najniższe podpokładzie.

Przekonałem się, że pod względem dyscypliny, panującej na okręcie, to brazylijskie statki nie ustępują europejskim. Od tej chwili przedstawiciele siły militarnej byli dla cywilów uprzedzająco grzeczni. Choć muszę przyznać, że prócz tego jednego wybryku, który kładę bezwarunkowo na karb głupoty winowajcy i nudów, panujących na statku, to zachowanie się żołnierzy było wzorowe. Wogóle murzyni są niby dzieci: weseli, towarzyscy, uprzejmi i gotowi do bezinteresownych usług.

Nie mogę pojąć, co jest przyczyną nienawiści względem czarnych i prześladowania ich w Północnej Ameryce!

Wreszcie wylądowaliśmy w Paranagua. Jest to port daleko mniejszy, prymitywniejszy i bardziej ospały, niż te, które już poznałem w Brazylii, jak: Pernambuco, Bahia i ostatnio olbrzymi port Santos. W Santos pokazywano nam 40 statków, które stały

opuszczone na kotwicach bez załogi, która wy-
marła na żółtą febrę, szalejącą tu od niedawna.
Właściciele tych statków nie zdążyli jeszcze ich
odebrać i zorganizować całej po nie wyprawy.

Wprawdzie wśród nas był tylko jeden austriacki
poddany, ale gdy ten zatelegrafował do austrija-
ckiego konsula w Curytybie, pana Okęckiego, że
siedmioro polaków, łącznie z wieśniaczką z pod
Radomia, chciałoby bezpłatnie dostać się do stolicy
Parania, pan konsul, jako polak, patrząc przez
palce na to, iż sześcioro z jego rodaków nie miało
prawa do jego opieki, wszystkim nam na koszt
funduszu dyspozycyjnego telegraficznie, odwrotną
depeszą zapewnił gratisowy przejazd koleją.

Z panem Okęckim po wyjeździe z Brazylii
nigdy się nie spotkałem, ale z jego nazwiskiem
często miałem sposobność odnowić znajomość.
Czytałem o nim, iż zajmuje dotąd wysokie stano-
wisko dyplomatyczne na którejś z placówek pol-
skich. Fakt z przed dwudziestu laty, gdy konsu-
lowi austriackiemu napewno nie śniło się nawet,
iż kiedyś będzie pracował w polskim ministerjum
spraw zagranicznych, fakt bezinteresownego opie-
kowania się rosyjskimi i niemieckimi nawet pod-
danymi na obczyźnie, co nie było nietylko obo-
wiązkiem konsula, ale sprzeciwiało się mu, —
fakt ten świadczy o patryjotyzmie pana Okęckie-
go i zrozumieniu znaczenia stanowiska polaka na
obcej służbie dyplomatycznej. Byłem później czę-
stym gościem w willi pana Okęckiego w Curi-
tybie i przekonałem się przy bliższem poznaniu
pana konsula, iż był to jeden z najmilszych, naj-
uczynniejszych i najbezinteresowniejszych roda-
ków, jakich w Brazylii poznałem.

Jazda koleją, trwająca pięć godzin, a wraz ze
zbliżaniem się do celu podróży, nabierająca po-
wolności biegu żółwia i to będącego w stanie nie-
wielkiego pośpiechu, odkrywała nam coraz wspania-
lsze widoki i wpajała we mnie coraz silniejsze
przekonanie, iż Brazylja — to najpiękniejszy kraj
świata. Dwie lokomotywy sapiąc i parszcząc, jak
zmęczone konie, ostatkiem sił walczące z ciężarem
trzech zaledwie wagonów i spadzistością toru,
windowały nas na wysokie płaskowzgórze na po-
ziomie mniej więcej Zakopanego będące, z płaskiego
brzegu oceanu. Wiadukty o niebotycznych filarach
przenosiły nas przez olbrzymie przepaście. Gdy się
spojrzało w tył, na przebytą już drogę, kolej szyn
wiła się jak wąż wśród wąwozów, gór, wspaniałych
wodogrzmotów i olbrzymich drzew o zieloności
podzwrotnikowej. Spojrzenie naprzód, na drogę,
którą jeszcze nam przebyć wypadało, nabawiało
obawy, iż przedsięwzięcie to jest nie do wykonania.
Gdzieś ponad głowami na setki metrów w górze
wiła się ta droga wśród szczytów górskich, prze-
skakując z jednego na drugi, dziurawiąc co chwila
tunelami skały i ziemię.

Pięć godzin zbiegło mi, jak podróż z Warsza-
wy do Milanówka. Już się ściemniało, gdyśmy
wysiedli na małej drewnianej stacji, typowej dla
tego rodzaju budynków w Południowej Ameryce.
Spotkałiśmy tam kilkunastu naszych przyszłych to-
warzyszów niedoli, inteligentów polskich, którzy
wcześniej od nas emigrowali z kraju. Przyznam
się, że ich opłakany wygląd zewnętrzny nie przy-
czynił się wcale do wiania otuchy we mnie w związ-
ku z moją przyszłością w Paranie. Byli prawie
wszyscy w podartych butach i takich samych odzie-
niach. Pośpiesznie się im przedstawialiśmy, nie

zwracając uwagi na ich nazwiska, tak jak oni na nasze. Zaofiarowali się nam za ciceronów, pomagali nam w odbiorze bagaży. Zaprowadzili państwa D. do hotelu, a nas mężczyzn w wieku od lat do 17-u 33-ch, w liczbie czterech, zabrali na ich wspólną kwaterę.

Wkrótce siedziałem zadowolony w zacisznym pokoju za sklepem, utrzymywanym przez polaka, przy wybornej kolacji, złożonej z pieczonej cielęciny, batatów (słodkie kartofle) i sałaty ze śmietaną. Na przekąskę do wódki mieliśmy polską kielbasę własnego wyrobu właścicieli wendy. (Wenda, to sklep, gdzie wszystkiego prawie można dostać, w połączeniu z szynkiem i restauracją).

Dookoła zwyczajnego, z dwóch desek szerokich zbitego stołu, siedziało ciasno, grono młodych emigrantów polskich.

Naturalnie, na nasze powitanie naprzód gospodarz wendy, a później jej niektórzy mieszkańcy wyjechali z fundą w postaci brazylijskiej wódki, zwanej „cachasa“ (kaszasa). Chociaż mi nie smakowała, jako nierektyfikowana i aż mętna, (pędzona z trzciny cukrowej) musiałem raz po raz wypijać, nie chcąc odmawiać gościnnemu gospodarzowi, który, jak się potem dowiedziałem, dość długo i cierpliwie kredytował mieszkanie i wikt biednej inteligencji z Polski, która tu nie była w stanie znaleźć jakiegokolwiek płatnego zajęcia. (Później prawie wszyscy z moich współtowarzyszy zabrali się w końcu do pracy fizycznej).

Gwar panował w izbie coraz większy. Opowiadano sobie nawzajem swoje dzieje. Nas wypytywano o wypadki w kraju i w Europie, o szcze-

góły wojny na Dalekim Wschodzie, my naszych nowych towarzyszy o stosunki w Brazylii.

Obok mnie z prawej strony siedział mężczyzna o długiej falującej blond brodzie i takichże włosach, spadających mu na ramiona. Jego piękne błękitne oczy, gdy zwracał się do mnie, spoglądały z taką jakąś słodyczą, z taką ufnością, zwłaszcza, gdy wsłuchiwał się w opowiadanie o kraju, który, jak mówił, opuścił nazawsze,—że polubiłem go odrazu i uczułem sympatję do tego pierwszego polaka, z którym los pozwolił mi się zbliżyć na obczyźnie.

Zdarzają się wypadki w życiu, które przypominają swą niezwykłością i specjalnem, jakby umyślnem nastawieniem faktów, jakieś nieprawdopodobne bajki, lub opowiadania dla małych dzieci. To, co mnie za chwilę spotkało, śmiało może uchodzić za wytwór fantazji zbyt wybujałej, ad hoc skomponowany ku urozmaiceniu opowiadania.

Gdy sąsiad mój, siedzący z przeciwnej strony, zwrócił się do blondyna i nazwał go Witoldem, nagle błyskawica domysłów rozświetliła mój mózg. Spojrzałem z zastanowieniem w oczy mego sąsiada z lewej strony. Zdawało mi się, że szczególnie ich wyraz jest mi dobrze i oddawna znany. Imię, Witold, skojarzyło się w mem wspomnieniu z dziecięcymi igraszkami w Warszawie, a dalej wyróżnieniem nazwiskiem i imieniem mego kuzyna, (którego kilkanaście lat nie widziałem) na korze palmy w ogrodzie botanicznym w Rio-de-Janeiro. Prawie już byłem pewien, że mam przed sobą kuzyna, z którym przed laty bawiłem się w żołnierzy, konie i inne ciekawe zabawy. Szepnąłem mu do ucha:

— Ja się nazywam M., a pan mam wrażenie jest R...

Niezwykłe zdziwienie odmalowało się na jego pięknym obliczu. W jednej chwili nasi towarzysze uczyty byli świadkami sceny, która z kolei ich wprowadziła w stan osłupienia.

Oto, dwaj obcy, przy sobie siedzący ludzie, rzucili się sobie w objęcia i wśród gorączkowych wykrzykników zaczęli się wypytywać i odpowiadać. Kuzyn interesował się losem swej najbliższej rodziny, którą od roku opuścił, ja zaś jego losami, które go aż tu zagnały. Kto nie przeżył nigdy w życiu takiego spotkania z blizkim sobie człowiekiem na obczyźnie, gdzie wszyscy i wszystko napawa nieufnością, ten niezdołen jest pojąć tej radości, jaka w tym momencie, wyżej opisanym, mną owładnęła.

— — — — —

Na drugi dzień po nocy spędzonej w bardzo prymitywnych warunkach, na twardym, zasłużonym po trudach dalekiej podróży, śnie, — wstaliśmy aby ogoliwszy się i odpowiednio przygotowawszy, złożyć ceremonjalne wizyty i zaznajomić się z wybitnymi polakami w stolicy Parany. A więc poznałem w pierwszych dniach mego pobytu w Curytybie: konsula austriackiego, wydawcę tygodnika polskiego pod nagłówkiem: „Polak w Brazylii“, pana K. Warchałowskiego, znanego i dziś działacza na polu wychodźstwa polskiego do Południowej Ameryki, redaktora tego pisma, p. J. Hempla i wielu innych.

Powoli poznawałem i wybitnych brazylijczyków, szczególnie tych, którzy odznaczali się przyjaźnią z kilku rodzinami osiadłych tu inteligentnych polaków, a którzy popierali wedle możliwości emigrację polską, widząc w jej rozwoju błogosławione rezultaty dla podniesienia cywilizacji Brazylii, a w szczególności Parany.

Wszędzie spotkałem się z nadzwyczaj sympatycznym przyjęciem. Przekonałem się, z jakim utęsknieniem, od lat zasiedzali tam emigranci, oczekują jakiejś wiadomości w żywym słowie z ojczyzny, nieraz nazawsze opuszczonej. Nostalgja tych osób przetwarzała się w osobisty sentyment dla mnie. W ich oczach byłem jakby gońcem, ślącym im pozdrowienie i wieści z dalekiej ojczyzny.

O ile bardzo miło schodził mi czas na wizytach i zebraniach, które gościnni rodacy i brazylijczycy na nasze przyjęcie gotowali, o tyle rozczarowanie się w warunkach zarobkowych kraju, w którym miałem zamiar, gdyby się powiodło, nazawsze, jak wielu innych, osiedlić, pozostawiały wiele do życzenia. Mówmy otwarcie, były beznadziejne.

Jak w Rio-de-Janeiro w pierwszych dniach pobytu, tak teraz w Curytybie, żyliśmy na kredyt u właściciela „wendy“. Dług rosł, a wraz z nim malała nadzieja rychłego wyrównania go zacnemu gospodarzowi. Każdy przyzna, że położenie nasze nie należało do godnych zażdrości. Spaliśmy w 12-u na gołej podłodze w pustej izbie. Ja, nie mając koca, ani pledu, jak inni — rozściełałem sobie wielkie płachty... gazet „A Republica“, „O Diario“ i „A Estrella“. Poślanie to nie było ani miękkie, ani elastyczne, ani wygodne, zato mniej ponętne przedstawiało pole do harców i spacerów dla licz-

nych odmian pasorzytów skóry ludzkiej, w jakie Brazylja obfituje.

Ponieważ z garderoby posiadałem jeden garnitur marynarkowy, w którym odbyłem podróż i frak, więc tym ostatnim przykrywałem się, jak kołdra.

Niewygody noclegowe nie dawały mi się jednak we znaki, gdyż zmęczony całodziennem chodzeniem, a posiadając skarb młodości, ledwie przyłożyłem głowę do naczelnego artykułu politycznego dziennika kurytybskiego, zasypiałem jak kamień.

Najchętniej bywałem w domu pułkownika armji brazylijskiej, polaka oddawna tam osiadłego, a mieszkającego nieco za miastem, który w liczbie swej rodziny posiadał gromadkę dzieci od najmniejszych do dorosłych w okrągłej cyfrze 24-ch. Było tam kikanaście panien. Najstarsze mówiły dobrze po polsku, młodsze źle, albo wcale.

Mysł, iż żyjemy na kredyt i nie widzimy terminu spłacenia długu, który z każdym dniem rośnie, wprawiała nas w coraz większe zakłopotanie.

Coraz bardziej gorączkowe poszukiwanie odpowiedniego zajęcia napawało nas przekonaniem, iż usiłowania nasze są daremne. Gdy jeden z naszych współlokatorów w braku innej posady, został policjantem, mieliśmy zamiar pójść w jego ślady. W policji parańskiej służyli wyłącznie polacy i murzyni. Kontrakt podpisywać trzeba było na 3 lata. Płaca niewielka, a duża odpowiedzialność, następnie długi termin kontraktowy, niedotrzymanie którego groziło więzieniem, niezbyt zachęcały nas do ostateczności, za jaką uważaliśmy karierę posterunkowego w Południowej Ameryce. Ale gdy inni nasi towarzysze, a z nimi i mój kuzyn, udali się na roboty ziemne do publicznego

ogrodu, i my poszliśmy za ich przykładem i kopaliśmy grządki i rabaty w „Passeo publico“ za 3 miljarsy dziennie. Uważaliśmy to za niezłą płacę. Częściowo zwracaliśmy (bardzo częściowo) nasze długi, większą część zarobku zostawiając na tytoń i inne niezbędne wydatki. Zarobek ten trwał za ledwie 2 tygodnie, po których znów wpadliśmy w przymusowe bezrobocie. Trochę zarabiałem, pisząc artykuły do polskiego pisma; jeden artykuł napisałem specjalnie do pisma portugalskiego, który w tłumaczeniu umieszczono w „Republice“ i w ten sposób czasem coś się zarobiło. Przy niżej, niż skromnych wymaganiach, możnaby było tak wegetować, gdyby nie trapiące nasze sumienia długi. Wówczas gdy ja więcej czasu poświęcałem na odwiedzanie znajomych, Bolek robił nawet bardzo dalekie wycieczki za miasto, trwające nieraz parę dni, w słusznym mniemaniu, że na prowincji, w kolonjach, łatwiej znaleźć robotę, niż w mieście.

Z jednej z tych dalekich wędrówek przyniósł on propozycję proboszcza w miasteczku, Araukaryi, ozdobienia przez nas wnętrza kościoła malowidłami. Warunki proponowane były dobre: 40 milrajsów miesięcznie i całe utrzymanie wraz z mieszkaniami. Wahałem się chwilę, czy podjąć się nieznanego mi fachu, ale namówiono mnie w jednej chwili i na drugi dzień piechotą: Bolek, inżynier architektury B. i ja udaliśmy się w 40-kilometrową podróż, zabrawszy ze sobą zakupione pędzle i farby.

Sama wędrówka przez stopy brazylijskie bardzo mi się podobała, chociaż była dość uciążliwa ze względu na niesione przez nas ciężary i upał panujący w tym czasie.

W drodze, która dwa dni trwała, udało się nam parę kilometrów przejechać wozem jakiegoś włocho, transportującego w 8 mułów herwę matę.

Za przejażdżkę zafundowaliśmy mu wina w napotkanej wendzie.

W podróży napotkaliśmy kolonje polskie, gdzie nasi kmiotkowie przyjmowali nas nadzwyczaj gościnnie. Wszędzie, prócz noclegu na sianie w stodołę, który wydawał nam się królewskim, wobec noclegu w Curytybie „na gazetach”, ofiarowywano nam przyjęcia, obficie i smacznym jadłem urozmaicone, a zakrapiane wódką i winem, własnej roboty polskich chłopów. Wino to niekiedy bywało wyborne; czyste, bez żadnych domieszek, które niby mają dodawać smaku, a zwykle tylko go psują.

Nareszcie, gdyśmy się zatrzymali w wendzie na rozstajnych drogach, stojącej na pustym stepie, dowiedzieliśmy się od właściciela jej, polaka, iż cel naszej podróży, zaledwie o 2 kilometry stąd położony i nawet widać z za falistości gruntu wieżę kościoła, którego wnętrze mieliśmy według naszych rachób w ciągu czterech miesięcy wykończyć malować.

Lwowianin, którego losy zanosły na stepy Parany, przyjął nas w swej wendzie z niebywałą gościnnością. Zapoznał nas z 16 letnią curką Genią i 20letnim synem, jak również z „patro’ą” — swą żoną.

Wszyscy ci mieszkańcy stepu oglądali nas, jak niebywałe widowisko. Istotnie: inżynier, dr. filozofji i praw, a na dobitkę... aktor... Niel Takie towarzystwo nieczęsto da się spotkać na rozstajnych drogach pod miastem Araukarją.

Zaspokoiwszy głód i pragnienie, chcieliśmy wyrównać rachunek. Gościnnie gospodarz, ani chciał słyszeć o zapłacie za ofiarowane nam jadło i napoje, mówiąc, że sobie to odbije, gdy będziemy przynajmniej raz na tydzień w niedzielę gośćmi w przeciągu czterech miesięcy w jego domu.

I zaczęły się najpracowitsze moje miesiące w Brazylii. Mieszkaliśmy na strychu plebanji, śpiąc na wonnym sianie. O 7-ej, po wybornem śniadaniu, składającym się z mleka zsiadłego lub słodkiego, bułek, chleba własnego wypieku gospodyni, masła, sera, kiełbas i szynki, jej również wyrobu, zaczęliśmy robotę na rusztowaniu w kościele. Praca trwała w forsownem tempie do 7-ej wieczorem z przerwą godzinną na smaczny obiad, który, nie bacząc na nasze robocze bluzy, obficie wraz z twarzami i rękami, zbryzgane różnokolorowemi farbami — zjadaliśmy łapczywie w towarzystwie proboszcza przy wspólnym stole.

Przygotowania do właściwego malowania trwały dni kilka. Trzeba było wymierzyć cały kościół i na papierze plan jego dokładnie wyrysować. Ja i Bolek pomagaliśmy inżynierowi w tej robocie, który jako specjalista, architekt, objął kierownictwo. Potem trzeba było skomponować projekt malowideł i ozdób. Proboszcz, młody, sympatyczny człowiek lat 33 zaakceptował po zaproponowaniu kilku zmian przedłożony mu projekt i wtedy wzięliśmy się do budowy ruchomego, przesuwanego rusztowania własnego pomysłu i konstrukcji.

Była to wysoka wieża ażurowa, sklecona z belek i desek, wysokości aż pod sklepienie kościoła sięgającej, a o podstawie szerokości około 8-u metrów kwadratowych. Na wierzchu ułożyliśmy podłogę ruchomą z desek, po której swobodnie można było spacerować. Na wierzchu rusztowania dostać się można było po przystawionej drabinie. Wieża owa była tak ciężka, że sami przesunąć ją z miejsca na miejsce nie byliśmy w stanie. Książę uprosił sąsiadów, Polaków, aby na nasze żądanie zawsze, o ile czas im pozwoli, udzielali nam swej pomocy. Później, gdy zwołać kilku ludzi sprawiło trudności, mitręga czasu, nim zebrała się garstka potrzebnych sił do poruszenia rusztowania, zmusiła nas do szukania sposobów, które nam samym umożliwiłyby przesuwanie ciężkiej wieży, bez uciekania się do pomocy innych.

Wymyśliłem dość prosty sposób, który pozwoli, ale bez oczekiwania na pomoc z zewnątrz kościoła, umożliwił nam przesuwanie wieży z miejsca na miejsce. Od biedy nawet jeden z nas mógł pokonać trudności, gdy dwu innych chwilowo w kościele nie było.

Oto podważało się drągiem cały ten sześcian i w ten sposób o parę centymetrów kolos za sprawą słabego człowieka posuwał się.

Robota w kościele była dość monotonna, to też z utęsknieniem oczekiwałem niedzieli lub święta, które od rana do nocy spędzaliśmy w szynku zanego Iwowianina na rozstajnych drogach o 2 kilometry od Araukaryi.

Spotkać tam było można przedstawicieli i przedstawicielki różnych nacji, ras i wyznań.

Pośród kabokłów (caboclos — rodzaj cow-boyów południowo-amerykańskich) uwijali się han-

dlarze, załatwiający na miejscu transakcje z mieszkańcami puszczy i stepów brazylijskich. Sprzedawano i kupowano herwę matę, (herbata brazylijska) drogocenne kamienie, (ametysty krwawniki i inne) piasek złoty i grudki tego cennego metalu, skórki różnych zwierzaków, stare szable i kosy, rewolwery i strzelby, z których te ostatnie przedmioty były ponętym nabytkiem dla mieszkańców dzikich puszczy i stepów. Upijali się tutaj konsekwentnie do nieprzytomności wódką, włączając się, jak nasi cyganie, indjanie. Słychać było wśród panującej mowy portugalskiej wykrzykniki, najczęściej przekleństwa: polskie, włoskie, hiszpańskie, niemieckie, najrzadziej zaś francuskie.

Cały dzień wśród tej różnorodnej cizby przechodził na śpiewach, grze w domino, kości, karty i „morę”. (Gra włoska, rodzaj bakarata na palcach obu rąk). Wkrótce nasza trójka stała się w stepowym szynku bardzo popularna. Wejście nasze do obszernej wendy nie tylko gospodarz, ale i zebrani goście witali radosnymi okrzykami.

Muzyka, przygrywająca tu przez cały dzień do tańca, składała się z harmonji, bandzja, gitary i kastanietów. Bandzjo i gitara akompanjowały mi nieraz do śpiewu, który był w karczmie ulubionym urozmaiceniem niedzielnych rozrywek. Musiałem z mej pamięci powyciągać najstarsze pieśni i śpiewki polskie, włoskie, a nawet niemieckie, ażeby podołać, nie powtarzając się, żądaniom bisów moich wdzięcznych słuchaczy.

Przez bywanie w wendzie rozszerzały się nasze stosunki, i znajomości. Byłem pewien, że mogę po skończonem malowaniu kościoła setki mil wędrować w różne strony i często natrafię na znajomych z wendy pana Trauczyńskiego.

Prócz cotygodniowych, niedzielnych rozrywek, trafiały się i w dniu powszednie jakieś urozmaicenia monotonnych, a pracowitych chwil w Arankaryi. Czasem odwiedził nas ktoś z bezrobotnej inteligencji z Curityby, pomagając nam bezinteresownie rozrabiać farby i bawiąc nas przytem rozmową na temat ostatnich nowin ze stolicy i Polski, które czerpano z gazet z dwumiesięcznem opóźnieniem dochodzących do Curityby. Niejeden z naszych byłych towarzyszy z Curityby chętnie puszczał się w wędrówkę, nie mając nic lepszego do roboty.

Pewnego poranku, gdy sam siedziałem na rusztowaniu, pracowicie przez tekturowy patron malując złote gwiazdy na niebieskiem tle sklepienia, usłyszałem z dołu pozdrowienie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Odpowiedziałem: „Na wieki wieków“ i bynajmniej nie zdziwiony tem, nie odrywałem się od roboty, póki nie skończyłem rozpoczętej gwiazdy.

Gdy spojrzałem następnie nadół, ujrzałem czarnego jak węgiel murzyna, który rozdziawisz gębę, ciekawie przyglądał się rezultatowi mojego malowania na suficie kościoła.

— O que, que voce querr? (Czego chcecie?) — zapytałem negra.

Ku mojemu zdziwieniu odpowiedział mi czystym polskim językiem, trochę zmazurska zatrącając. To on mnie pozdrowił tak wybitnie polskiem powiedzeniem.

Naturalnie wdałem się z mym czarnym gościem w pogawędkę, tymbardziej, że samotność dzisiaj już mi dokuczyla, gdyż dwaj moi współpracownicy pojechali do Curityby po farby i pędzle, których nam z czasem zabrakło.

Dowiedziałem się, iż murzyn, od dziecka żyjąc na kolonji w polaków jedynie towarzystwie, chodził do polskiej szkoły i lepiej włada językiem naszych kolonistów, niż panującym w Brazylii portugalskim; że nawet polkę i to warszawiankę pojął za żonę i ma z nią dwie córeczki paroletnie, które pod względem cery wdały się w ojca, podobno ku utrapieniu matki.

Spotkałem kiedyś później, spacerując o zachodzie słońca po zboczach wyżyny, na której gnieździło się miasteczko, kobietę białą o blond włosach, tęgą o bujnych kształtach, zupełnie zresztą w guście murzynów. Na ręku niosła maleńką murzynek, śliczną o czarnych wielkich oczach, jak laleczkę gumową, a drugą, trochę starszą, prowadziła za rękę. Domyśliwszy się, iż spotkana kobieta jest żoną znajomego mi murzyna, zaczepiłem ją i wszedłem w pogawędkę. Domyśl mój był trafny. Dowiedziałem się, że warszawianka swe dwie murzynekki wychowuje po polsku, że uczy je pacierza w jej ojczystym języku i bardzo z męża i całego życia w Paranie jest zadowolona. Na moją prośbę starsza dziewczynka, złożywszy czarne jak z czekolady rączki do modlitwy, zmówiła bez zająknięcia „Ojcze nasz“.

Gdy, wróciwszy do kraju, opowiadałem znajomym powyższy wypadek, wysmiano mię i ogłoszono za blagiera, który nie potrafi nadać chociażby dalekich, cech prawdopodobieństwa wytworom swej bujnej fantazji. Niektórzy obrażali się, że mamswych słuchaczy za głupców, czy naiwnych, opowiadając im podobne brednie, jak istnienie polskiego murzyna z warszawianką żonatego i czarnych dziewczynek po polsku się modlących. Dziś, gdy liczni podróżnicy zwiedzili Brazylię, która za mej bytności

była mało znanym krajem w Polsce, gdy Towarzystwo Emigracyjne ogłasza sprawozdania swych wysłanników i delegatów zarządu, nieraz czytając w „Wychodźcy“ (piśmie warszawskim, poświęconem emigracji polskiej) opisy całych wsi i sadyb murzyńskich, nie znających wogóle innego języka, jak polski. Niestety, wówczas, wróciwszy do polski, nie mogłem. (co, przyznam się, bardzo mnie irytowało), dowieść moim rozmówcom, iż opowiadanie moje było prawdziwe. Nie mogłem bowiem swych twierdzeń poprzeć autorytetem innych podróżników, gdy sam tylko wróciłem do kraju.

Wielką dla mnie rozrywką było zawitanie na rynkach Araukarji dwóch wozów, krytych płóciennymi budami, z pod których wypełzli członkowie trupy cyrkowej „patrona“, (dyrektora) Bartolo.

W przeciągu paru godzin ustawiono okrągły, duży namiot płócienny, a wewnątrz dookoła umieszczono deski oparte na pieńkach, mające imitować krzesła cyrkowe.

Gdy sam gmach był już gotów, jeden z kłownów wdział swój urzędowy kostjum, ucharakteryzował się i spuściwszy długie nogawki szerokich żółtych szarawarów na wysokie szczydła, podpierając się olbrzymią tyką, zaczął tak wędrować od domostwa do domostwa, zapowiadając skrzeczącym, piszczącym głosem cuda, jakich będą świadkami ci, którzy odzają milrajsa i o 6-ej wieczorem odwiedzą budę dyrektora Bartolo. Kłown namówił sobie rzeszę chłopaczków, którzy za człowiekiem na szczydłach biegli krok w krok i każdą jego atrakcję, zapowiedzianą dyszkantem, witali klaskaniem w ręce i powtarzali wrzaskliwie, co kłown zaanonsował.

Za tę fatywę otrzymali gratisowe wejścia do cyrku, przyczem mieli odgrywać rolę naszej „klaki“.

„Patrao“ cyrku złożył wizytę naszemu księdzu proboszczowi, prosząc go o poparcie, obiecując część dochodu złożyć na cel odnowienia kościoła.

Podczas jego wizyty z okazji tej i my, robotnicarze kościelni, skorzystaliśmy, gdyż ksiądz proboszcz przyjął gościa obiadem zakrapianym wódką i winem, a te dodatki i ozdoby stołu proboszczowego były wielką rzadkością, obecność ich zaś wiązała się zawsze z jakąś uroczystością.

Dyrektor cyrku, starszy człowiek, o długich, siwawych kędziorach, ze złotym kolcem w uchu, nawet podczas obiadu zażywał tabakę i gryzł prymkę, a właściwie zwykłą „fumę“, to jest ten sam tytoń, który my używaliśmy do palenia.

„Fuma“ jest to dowolnej długości jakby lina kręcona z liści tytoniowych. My z polska nazywaliśmy ten preparat poprostu kielbasą. Tytoń taki szatkowało się na stole nożem lub szablą, którą każdy „caboclo“ ma u boku i zawijało się w liść kukurydzy, bibułkę, lub nawet zwykły papier i w ten sposób powstawał papieros swojej roboty. Inni, amatorzy fajki, tak uszatkowaną fumę napychali najczęściej swojej roboty lulki.

Dyrektor cyrku, dowiedziawszy się, że ja i on jesteśmy poniekąd kolegami, zaproponował mi, czybym się nie zaprodukował w cyrku w jakimś polskim repertuarze, coby niezmiernie urozmaiciło program ze względu na to, iż jego kłowni jedynie portugalskim językiem władają, zaś o ile dyrektor zdołał się zorientować, to okolica, w której jego wędrowny cyrk się znalazł, jest zasiedlona po większej części polakami.

Chętnie skorzystałem z jego propozycji, zwłaszcza, że ksiądz proboszcz gorąco mnie zachęcał do wypowiedzenia na arenie jakich znanych mi monologów.

W garderobie cyrkowej, którą był wóz kryty płótnem, poznałem całe towarzystwo.

Przedewszystkiem wśród personelu cyrkowego zwróciła moją uwagę pani dyrektorowa (patroa), której wiek młodociany (najwyżej mogła mieć lat 15) dziwnie nie harmonizował z pięćdziesiątką jej małżonka. Mimo to, patroa dumna była ze swego stanowiska i na każdym kroku okazywała swą wyższość podwładnym i, jak się później przekonałem, prawie nigdy nie wyłaziła z pod budy dyrektorskiego wozu, jakby nie chcąc pospolitować się z trupą. Jej zajęciem było tylko sprzedawanie w kasie biletów nietylko za pieniądze, ale (częściej) nawet za jaja, masło, sery, kurczęta, słoninę, owies, lub kukurydzę. W stepach i puszczech brazylijskich bowiem nie odczuwa się braku środków obiegowych. Tam banknoty i bilon do dziś zastępuje bardzo skutecznie wszelka wartość konkretna i zamiast uciekać się do symbolów wartości, pierwotni brazylijczycy w najlepsze oddają się handlowi zamiennemu, nie troszcząc się brakiem monety. Zajęcie pani dyrektorowej trwało ze dwie godziny wieczorem w kasie. Podziwiałem jej olimpijski spokój, z jakim spędzała wśród niebywałych nudów całe dni pod nieprzemakalnym płótnem swego cygańskiego wozu.

Jej wytrzymałość wprost mi imponowała. Podczas parodniowego pobytu cyrku w Araukarii, miałem sposobność zaobserwować tryb życia tej zadziwiającej istoty. Przekonałem się, że pani

dyrektorowa cyrku jest analfabatką, więc czytaniem romansów nie urozmaica monotonnego życia.

Cyrk, jako taki, jak zresztą i całe życie ją otaczające, nie zajmował jej wcale. Nie bywała ani na próbach, ani też nie przypatrywała się spektaklom. Gdy tylko ostatni gość wykupił od niej bilet do cyrku, natychmiast zabierała zawartość kasy i z całym bagażem udawała się do swego „asilum” i zasypiała snem niewinnego dziecka. Wogóle spanie wypełniało większą część jej życia. Gdy czasem wpełzałem pod jej płócienny namiot, aby rozmową z tą zadziwiającą istotą objaśnić sobie jej psychologię, poznać jej upodobania, zrozumieć jej światopogląd, jej pierwotną, ubogą filozofję, — zastawałem ją, albo czeszącą drucianym grzebieniem niesamowicie obfite i długie włosy, lub palącą flegmatycznie, ale z namiętnem zaciąganiem się, olbrzymie „charuto” (cygaro). Wyciągnąć z niej jakieś wyznanie, dowiedzieć się od niej jakichś szczegółów z jej życia było niepodobieństwem.

Była dość przystojna, a dzięki jej oliwkowej cerze podejrzewałem w protoplastach dyrektorowej przymieszki indyjskiej, czy też murzyńskiej rasy. Zresztą ślady ciemniejszych ras u pani dyrektorowej były bardzo dyskretne. Częstowała mnie najczęściej cygarem własnej roboty, które tak, jak my kręcimy w palcach papierosy w bibułce, ona zwijała zgrabnie i szybko z liści tytoniowych, skuteczniając tę fabrykację na własnym ponętym udzie, uchylwszy przedtem spodnicy i koszuli.

Ten gest obnażania swych kształtnych nóg u niej pozbawiony był absolutnie jakiejs względem mnie zalotności. Ręczę również, że w tym

wypadku nie odczuwała ani krzty wstydu, czy zażenowania. Zresztą później przekonałem się, że mieszkanki puszcza brazylijskich i plantacji tytoniu w ten sam co ona sposób formują cygara na swych obnażonych udach. Siedzą wtedy na ziemi w koło stopami do siebie zwrócone, śpiewem, plotkami lub rozmową z towarzyszącymi ich pracy mężczyznami, urozmaicając sobie monotonne zajęcie.

Widziałem, że „patroa“ cyrku lubi moje wizyty. Przekonałem się jednak, iż nie wywieram na młodzieńczej kobiecie najmniejszego wrażenia jako mężczyzna, a nawet jako przedmiot rozrywki. Moja gawęda z nią zdawała się ją wcale nie interesować. Na wszelkie moje pytania czy dykteryjki odpowiadała stereotypowym uśmiechem, lub kiwnięciem głowy. Zadowolenie jej z moich wizyt miało gdzieindziej swoje źródło.

Pozbawiona jakiegokolwiek towarzystwa, prócz sąsiedztwa w wozie ze starym mężem, Anastazja ubierała się nadzwyczaj niedbale. Nieczysane, roztargane, obfite, pod brudną chustkę schowane uwłosienie było jedyną ozdobą jej głowy. Płócienna, rozmamłana na piersiach niebieska bluzka i także spódnica stanowiły jej codzienny ubiór. Bose nogi, na które wdziewała, wychodząc rzadko z wozu, tak zwane patynki, czyli pantofle bez napiętków, miała najczęściej podwinięte pod siebie po turecku, lub siedząc godzinami w kuczki, zwyczajem kabokłów brazylijskich i indjan. Otóż źródłem satysfakcji jej z mych wizyt w cyrkowym wozie była możliwość zaprezentowania komuś (w tym wypadku mnie) swoich strojów, pierścionków, naszyjników i kolczyków. Gdy tylko zjawiłem się pod płótnem jej wozu, podawszy mi

ospale, bez ożywienia swą małą, zgrabną rączkę, uśmiechając się ciągle tajemniczo, jak Gioconda, zaczynała swą toaletę. Zdejmowała z głowy chustkę i rozczesywała włosy naprzód zwykłym grzebieniem, a potem gęstym. Gdy nie zwracał na to zbyt wielkiej uwagi, ona ją kierowała jednym powiedzeniem na pożądane dla niej tory:

— Mam i gęsty grzebień..

Przy tych czynnościach podziwiałem u niej oszczędność ruchów, zredukowanych do minimum. Ach! Nie spotkałem w życiu leniwszej od niej niewiasty. Prawdopodobnie dzięki też wrodzonemu lenistwu nie chciała odbierać życia znajdowanemu na grzebieniu pasorzytom i łaskawie puszczała je wolno, wyrzucając delikatnie za płótno wozu, na trawkę. Po skończonej koafiurze, na włosy przymierzała różne wstążki, lamy srebrne i złote, sznurki pereł i koralików. Swą codzienną bluzkę zmieniała na jedwabne, aksamitne, lub fularowe różnych kolorów, co chwila je zdejmując i wkładając inne.

Zachwycająca to była osoba! Raz zapytałem ją, czy nie przychodzi jej na myśl kiedy zdradzić męża.

Odpowiedziała, iż nigdy o tem nie myślała, a zresztą choćby nawet i zamarzyła, to przecież z kim?..

Przyznam się, że to ostatnie zdanie uraziło mnie troszeczkę. Zrozumiałem jednak, że w jej pojęciu wysokie stanowisko, jakie piastowała, skazywało ją na „splendid isolation“ i wierzyła, iż w życiu nie spotka nikogo, kto byłby godnym zastąpić jej wysoko postawionego w hierarchii społecznej małżonka.

— Zresztą, onby mnie zabił...—dodała leniwie po długim namyśle.

Opowiadała mi potem murzynka z trupy cyrkowej, że dyrektor miał już na sumieniu poprzednią żonę, która uciekła z jakimś kabokiem i przypłaciła swój śmiały krok życiem.

Z początku patrzałem po tej wiadomości na „patrona”, jak na zbrodniarza, szukając lombrozowskiego piętna na jego pięknej, zoranej zmarszczkami, ogorzałej twarzy. Później jednak przekonałem się, iż był to najdobroduszniejszy, poczciwy człowieczyna, co mu nie przeszkadzało w pewnych okolicznościach wierzyć w swe posłannictwo mentora, sędziego, a nawet *tout simple...* kata.

W Brazylii, w jej mniej znanych, a mało zaludnionych okolicach do dziś panują chieratyczne zwyczaje, tradycyjalne poczucie sprawiedliwości i prawa.

Władza ojca rodziny nad dziećmi, męża nad żoną, wybieralnego naczelnika plemienia indjan nad klanem i t. d. jest daleko tam więcej obserwowana, niż gdzieindziej. Powaga zaś uświęconej tradycją i naturą władzy ojca, męża, naczelnika jest tam większą od autorytetu sędziów, policji i deputowanych.

Cała trupa składała się wraz z dyrektorową, jako kasjerką, wszystkiego zaledwie z pięciu osób, nic więc dziwnego, że mój występ przyjęty był przez całą trupę bardzo przychylnie, jako moment wypoczynku dla mych chwilowych kolegów.

Trzech mężczyzn i jedna kobieta, murzynka stanowili zgrany personel cyrku, faktycznie niebywale uzdolniony. Każde z tych czworga cyrkowców mogłoby się popisywać w niejednym z europejskich cyrków z wielkiem powodzeniem. Wszechstronność

uzdolnień każdego z nich z osobna budziła we mnie podziw i zazdrość.

Dyrektor wybornie tresował dwa konie, które oprócz inteligencji w wykonywaniu różnych ewolucyj, tańców na arenie i biegania rytmicznie dookoła areny, gdy wołyżerka na ich grzbietach cudów zręczności i odwagi dokazywała,— musiały jeszcze całą trupę wraz z gmachem cyrkowym i całym bagażem przenosić z miejsca na miejsce, jako zwierzęta wybitnie pociągowe.

Dyrektor, dobry trener i treser koni był jednocześnie atletą i gimnastykiem na reku.

Klown, który na szrudłach chodząc, zapowiadał na ulicach miasteczka przybycie cyrku i zachwalał jego program, był głupim augustem w pierwszej części przedstawienia, w drugiej występował w roli człowieka węża i rzeczywiście budził podziw swą elastycznością i ciałem niby z gumy. Ten sam klown umiał grać na kilkudziesięciu instrumentach jako ekscentryczny muzyk i mnie właśnie akompanjował na gitarze.

Drugi klown, który w drugiej części zastępował swego kolegę jako august, w pierwszej śpiewał przy własnym akompanjamentem na gitarze aktualne kuplety i piosenki, niektóre bardzo ładne i melodyjne o tempie tanga, którego takt, formę i nazwę poznałem w Brazylii na wiele lat przed wprowadzeniem tego tańca w Europie wraz z „maxixo”, który w pewnej modyfikacji u nas nabierał stopniowo nazw: „one-step”, „two-step”, „rag-time” i t. d.

Tensam śpiewak występował w parze z murzynką, jako ekscentryczny tancerz, gdy jego kolega klown grał na gitarze, a dyrektor na olbrzymiej harmonji.

On również jeździł *par force* na koniu.

Murzynka była nielada siłaczką.

Wdrapawszy się na wiszącą u sufitu linę, przez pół godziny parę metrów nad ziemią wisała tak uczepona, wykonywując najtrudniejsze łamańce i sztuki. Strzelała do celu z floweru, gasząc świece i zrzucając kulka jabłko z głowy dyrektora.

Pokazywała sztuki na nieosiódlanym koniu i wytwornie tańczyła walca, polkę-mazurkę i kankana w parze z jednym z kłownów.

Maxixo i tango były tam uważane za tak nieprzyzwoite, że nietylko nie tańczono ich w towarzystwach i na scenkach kabaretów, ale nawet wyrazów „tango” i „maxixo” nie wypadało mówić w towarzystwie, jako słów sprośnych i nieprzyzwoitych.

Te, tak dziś popularne i przez najczcowniejsze nieraz matrony wykonywane tańce, w Brazylii można było widzieć jedynie w marynarskich, portowych tawernach, w szynkach murzyńskich i innych lokalach nie cieszących się dobrą opinią ani poważnych obywateli ani państwowej policji.

Wielostronność talentów członków trupy senhora Bartola i jego koni, mimo ograniczonej liczby artystów i zwierząt, czyniła program wędrownego cyrku bardzo urozmaiconym i ciekawym.

W kolonjach, oddalonych od większych miast o setki kilometrów, zjawienie się takiego cyrku — to nielada sensacja. To też ani senhor Bartolo, ani jego podwładni nie mogli skarżyć się na brak powodzenia. Kto żył w okolicy, gdzie cyrk rozpostarł na chwilę swą płócienną budę, śpieszył do kasy wręczyć melancholijnej, apatycznej dyrektorowej: milrajsa, tuzin jaj, osetkę masła, lub kurczaka.

Niejedyn „caboclo do matto” przyniósł, miast pieniędzy, wartościowy kamień własnoręcznie znaleziony w ziemi.

Niejedna kolonistka polska ofiarowała za wejście do cyrku dla całej swej rodziny z tuzinem dzieciaków chustkę, lub spódnice samodzielną własnej roboty, a dyrektorowa, niczem nie gardząc, wydzieriała z książki automatycznie kolorowe bilety, uśmiechała się tajemniczo, zaciągając się jak huzar mocnym cygarem.

Mój występ wzbudził nieklamany entuzjizm wśród publiczności, której więcej jak trzy czwarte składało się z polaków.

Śpiewałem ludowe piosenki. Szczególniej jedna wzbudziła wśród słuchaczy sympatię dla początkującego artysty cyrkowego. Musiałem ją aż trzy razy odśpiewać *da capo al fine*.

Treść tej piosenki pozbawiona absolutnie sensu i rytm pełen oberkowego temperamentu podobały się nietylko naszym chłopom, ale nie w mniejszym stopniu brazylijczykom i murzynom.

Wyciem i biciem kijami o ławki wyrażali swój zachwyt nad tym polskim, ludowym kawałkiem. Gdy trzeci raz nie miałem ochoty już bisować, jeden z brazylijskich cow-boyów posunął tak daleko wyraz swego entuzjazmu, że dał aż sześć rewolwerowych strzałów w dach płócienny cyrku. Oczywiście na takie natarczywe żądanie nie pozostawało mi nic innego, jak odśpiewać po raz trzeci następującego oberka:

A zagrajże mi grajczyku,
mi grajczyku kowala!
Kowalika, kowala! Kowalika,
kowalika kowala?

A ten kowal szwejsował woskował,
nie umiał, popsował.
A bodaj go kowala! Kowalika, kowala!
Kowalika, kowalika, kowala!

Wziął kowadła i młoty,
Powyrzucał to wszystko
do djabła za płoty!
A bodaj go kowala! i t. d.

Bardzo zaprzyjaźniłem się z całą trupą senhora Bartola i z niekłamanem zmartwieniem dowiedziałem się od dyrektorowej pewnego dnia, że już jutro zwijają swój płócienny gmach i puszczają się w dalszą tułaczkę.

Nasza praca w kościele była już na ukończeniu.

Miałem wielką ochotę zabrać się z cyrkiem w drogę, gdyż właśnie Bartolo jako cel swej obecnej podróży obrał Curitybę, do której i ja chciałem się dostać po skończeniu malowania kościoła. W tem mieście zostawiłem moje rzeczy, chciałem z zaoszczędzonych zarobków zapłacić zaległe długi państwu D., którzy mi pożyczili pieniędzy w Rio de Janeiro i właścicielowi wendy, który mnie żywił i nocował u siebie na kredyt. W Curitybie również myślałem znaleźć dla siebie jakieś zajęcie.

Dwaj moi koledzy — malarze, Bolek i inżynier robili mi wielkie trudności, wskazując na niezupełnie ukończoną jeszcze robotę. Prosiłem, aby do końca już sami dobrnęli bez mojej pomocy.

Nie chcieli się na to zgodzić. W ich uporze dojrzyłem się łatwo nietyle lenistwa i zazdrości, że mniej od nich będę pracował, lecz obawy, iż tracą na parę dni moje towarzystwo, w którym bardzo sobie upodobali. Wreszcie inżynier zaproponował takie wyjście: ja mam wykończyć róg kościoła wraz z sufitem w tem miejscu, gdzie znajduje się ambona i jeżeli tę pracę na termin wykonam, to mnie puszczą.

Praca, którą mnie perfidyjnie obarczyli, wydawała im się nie do wykonania w tak krótkim czasie, myśleli więc, że w ten sposób zmuszą mnie do pozostania na miejscu i wędrowki pieszej w ich towarzystwie do Curityby.

Sam niebardzo ufając w możliwość skończenia podjętej pracy na czas, zabrałem się energicznie do roboty. Wielką trudność stanowiło pomalowanie ścian i sufitu nad amboną, gdyż rusztowania nie dało się przysunąć do samej ściany. Ambona na to nie pozwalała. Zaś towarzysze moi, drwiąc haniebnie z moich wysiłków, odmówili wszelkiej pomocy w wykonaniu zadanej pracy i nawet aie chcieli ręki przyłożyć do przesuwania rusztowania. Wymyślając im od zdrajców, łotrów i intrygantów, oblewałem się siódmym potem, próbując jakoś przysunąć rusztowanie jaknajbliżej ambony. Wreszcie wlałem na wierzch drewnianej wieży i wzięwszy najdłuższy z pędzli, a wreszcie przywiązawszy go do długiej żerdzi, jeszcze nie mogłem dostać do sufitu i ścian nad amboną. Z rozpaczą, iż nie dokonam zakładu, a próżnujący pod wieżą moi towarzysze, założywszy bezczynnie ręce i śmiejąc się do rozpuku z moich daremnych usiłowań, tę moją bezradność i rozpacz potęgowali podstępnie, — powziąłem hero-

iczny pomysł. Wziąłem jedną deskę długą na jakie osiem metrów i końcem wysunąłem ją poza krawędź rusztowania tak, że ten koniec deski nad amboną sterczał, jak w powietrzu wisząca kładka. Druga połowa deski spoczywała na podłodze rusztowania; postawiłem kubel z wodą, aby zrównoważyć mój ciężar, gdy będę próbował wkroczyć z pędzlem na sterzcący nad amboną kawałek deski.

Ostrożnie, krok za krokiem stąpałem po desce, wiszącej nad przepaścią pięciopiętrową... Deska się ugiwała, ale kubel po jej przeciwnej stronie przyciskał jeszcze jej koniec do podłogi rusztowania. W ten sposób, ostrzegany przerażonymi okrzykami, obserwujących moje ekwilibrystyczne ćwiczenia przyjaciół, — jako tako pomalowałem boki węgła na różowy kolor. W tej pozycji jednak nie byłem w stanie końcem pędzla dotrzeć do sufitu, który trzeba było w samym rogu założyć — ultramariną. Umaczawszy pędzel, zacząłem się posuwać naprzód po desce powolutku centymetrowymi krokami.

— Julek, zlituj się! — wołał Bolek.. — Prze-
stań!

— Dość, — wołał inżynier — wracaj! Zwalnia-
my cię z zadanej roboty. Jedź z cyrkiem do Cu-
rityby, a nawet do djabła, jeżeli ci się tak spieszy
porzucić nasze towarzystwo!

Nie słuchałem trzeźwych, bądź co bądź i roz-
sądnych rad. Zahazardowałem się w tem kusze-
niu niebezpieczeństwa, co mi się zresztą potem
w życiu nieraz przytrafiało. Głuchy na namowy
towarzyszy szedłem naprzód, aż koniec deski,
spoczywający na rusztowaniu, wraz z kubłem pod-
niósł się w górę. Mój ciężar gatunkowy zaczął

przeważać. Jeszcze ostrożniej i wolniej, ale w dal-
szym ciągu postępowałem naprzód, aż dosięgłem
pędzlem rogu sufitu. I tak balansując na bujają-
cej się desce skończyłem najtrudniejszą część mo-
jej roboty.

Oklaski zamilkłych z przerażenia moich to-
warzyszy uwieńczyły dzieło, gdy znalazłem się na
podłodze rusztowania z powrotem.

— — — — —
Gdym żegnał się z towarzyszami, widziałem
w ich oczach prawdziwy żal, że zostawiam ich
samych, choć za tydzień najdalej mieliśmy się spot-
kać w Curytybie.

Ksiądz proboszcz, wypłacając mi należność
za czteromiesięczną pracę, wyraził żal, iż musi się
pozbyc w mej osobie organisty (choć w kościele
organów wcale nie było, mimo to chłopci nazywali
mnie organistą, który gorliwie na chórze *acapella*
śpiewywał wszelkie odpowiedzi mszalne, różne
„veni Creator’y“ i inne). Ksiądz zauważył też,
że niepotrzebnie zwracałem kolonistom pieniądze,
jakie na ręce proboszcza składali dla organisty za
śpiewy przy ślubach lub pogrzebach.

— Byłbyś pan miał sporą sumkę — dodał
ksiądz proboszcz, ściskając mą dłoń na poże-
gnanie.

Odprowadzony do wozu cyrkowego przez
proboszcza i moich towarzyszy, i również przez
przygodnych gapiów, których gromadka zebrała
się, aby obserwować odjazd cyrku, — wpelzłem

pod namiot dyrektorowej i żegnani życzeniami szczęśliwej podróży, ruszyliśmy w stronę wendy lwowianina na rozstajnych drogach.

Tu zafundowałem cyrkowcom obiad, obficie wódką i winem zakrapiany. Podczas tej uczt członkowie trupy popisywali się swą zręcznością, w podziw wprowadzając gospodarza, jego żonę z dziećmi i kilku znajdujących się gości w wendzie. Jeden z kłownów łykał noże i widelce, drugi chodził na rękach, wszyscy zaś trzej mężczyźni urozmaicali zabawę grą na gitarze, mandolinie i harmonii. Nie obeszło się bez tańców. I tu po raz pierwszy widziałem tango i maczicza, które to tańce ze względu na swój oryginalny rytm, ładne melodie i egzotyczny czar zrobiły na mnie duże wrażenie. Dopiero w dobre dziesięć lat po moim powrocie z Południowej Ameryki, usłyszałem w Europie pierwszego maczicza.

Po drodze do Curityby zatrzymaliśmy się w jednej z kolonii polskich i tu raz jeszcze wystąpiłem w mym „własnym repertuarze“.

Pożegnanie moje z dyrektorem cyrku i jego trupą było niemal czułe.

Najobojętniejszą wobec rozstania się ze mną wydała mi się dyrektorowa. Podała mi leniwie, jak zwykle, swą dziecinną rączkę i uśmiechnęła się głupio, bezmyślnie, czy też tajemniczo, jednym słowem—przyjemnie.

W Curitybie w naszym „Nachtasilu“, niewszystkich dawnych towarzyszy zastałem. Jeden z nich służył już od paru miesięcy w policji, trzech innych, a w liczbie ich i mój kuzyn wydzierżawili kolonję od redaktora „Polaka w Brazylii“ o parę kilometrów znajdującą się od Curityby. Zato zapoznałem się z nowymi przybyszami: dwo-

ma braćmi z Krakowa, którzy dopiero ukończyli szkoły i teraz puścili się za ocean, wzięwszy jednak pewien niewielki kapitałik, nie tak lekkomyślnie jak ja. Trzeci nowy przybysz był to hrabia R., młody, przystojny dżentelmen o bardzo miłym barytonowym głosie. Zaraz pierwszego dnia, przy poznaniu się z nowymi towarzyszami niedoli, a powitaniu dawnych, którzy tylko w liczbie kilku jeszcze pozostali, nie obyło się bez trunków i śpiewów. W oczach tych, co przez cztery miesiące mej nieobecności bezradnie będę w Curitybie nadal klepali, uważany byłem w tej chwili za Krezusa. Nietrzeba dodawać, że gospodarz wendy, otrzymawszy pieniądze za udzielony mi kredyt, był tym faktem mile zdziwiony, gdyż, jak się przyznał, niebardzo ufał w znalezienie przez nas jakiegoś opłacającego się zajęcia, będąc świadkiem trudności, z jakimi walczyła inteligencja w zarobkowaniu w Paranie.

Posiadając sporo gotówki, stawiałem butelkę za butelką wina brazylijskiego, a bracia S. z Krakowa i hrabia R. nie dali mi się prześcignąć w częstowaniu całego towarzystwa. Z hrabią R. śpiewaliśmy na poczekaniu duety, przyczem *ex abrupto* dobieierałem drugi głos do starych jak świat piosenek, co wywołało zachwyt wśród grona biesiadników.

Popularną wendę pana Kęsikowskiego odwiedzali często polacy z Curityby i jej okolic wieczorami. To też wieść o moim powrocie i dziś sprowadziła paru rzemieślników, z których pewien garbarz, doskonały kompan, starszy już człowiek i posiadacz silnego basowego głosu, cieszył się wśród nas największem uznaniem.

W tym to czasie wpadłem na pomysł zorganizowania kwartetu męskiego. I tak: ja śpiewałem tenorem pierwszym, jeden z braci S. tenorem drugim, hrabia R. barytonem, a garbarz basem.

Mnóstwo pieśni umiałem na pamięć wszystkimi czterema głosami, będąc przez parę lat w Krakowie gorliwym członkiem Chóru Akademickiego. Natrafiwszy na muzykalnych i pojętych uczniów, nauczyłem ich kilku kwartetów, których wykonywaniem, wzbudzaliśmy nieklamany zachwyt wśród Curitybian, którzy przedtem nigdy jeszcze nie słyszeli pieśni, śpiewanej na cztery głosy.

Prawie co wieczora cała paka amatorów-śpiewaków i amatorów-słuchaczy zbierała się w wendzie pana Kęsikowskiego. Specjalnie uroczyste przyjęcie odbyło się tam z okazji powrotu z roboty Bolka i inżyniera.

Teraz jednak znów trzeba było pomyśleć, co dalej robić.

Ja osobiście przyznam się, najchętniej wróciłbym do kraju. Zacząłem za nim i za rodziną tam zostawioną tęsknić nienazarty. Cóż, kiedy środki finansowe nie pozwalały narazie nawet marzyć o tem.

W tym czasie polska szkoła w Curitybie, do której uczęszczała setka dzieci zrodzonych już w Brazylii, nie miała od paru dni nauczyciela, gdyż młody człowiek, zajmujący poprzednio to zaszczytne, ale niezbyt popłatne stanowisko, udał się gdzieś na daleką kolonję, gdzie właśnie polską szkołkę zakładano. Dochody na kolonjach były może i mniejsze, ale życie znacznie tańsze, niż w mieście. Można bez wielkiej przesady powiedzieć, że utrzymanie na kolonji nie kosztowało wcale. Zawsze

jakieś pożywienie się znalazło. Jeżeli zaś chodzi o odzienie i obuwie, to bez żenady można było paradować po kolonjach w najgorszych łachmanach, gdyż nasi wieśniacy znali nędzę inteligencji polskiej w Paranie i lojalnie darzyli ją wyrozumiałością, połączoną z dużą dozą politowania. Korzystając z propozycji wydawcy pisma polskiego w Brazylii, który jednocześnie był założycielem i właścicielem gmachu szkoły, abym objął wakuującą posadę, bez wahania się zgodziłem, nie mając nic narazie ponętniejszego na widoku.

Zacząłem uczyć polskie dzieci czytać i pisać po polsku i portugalsku. Za tę naukę portugalskiego szkoła otrzymała jakieś subsydjum rządowe. Cztery godziny nauki w szkole, zapelnionej setką dzieci męczyły mnie niemożliwie. Fizyczna praca przy kościele we wspomnieniu wydała mi się odpoczynkiem wobec nauczania cudzych dzieci. Odczułem praktycznie znaczenie przekleństwa: „A bodajes cudze dzieci uczył“. Mieszkałem przez ten dwumiesięczny mój pobyt w szkole u dentysty - lekarza, pana M., z którego rodziną zbliżyłem się w czasie mego pobytu w Curitybie zblżyć i zaprzyjaźnić. W sympatycznym domu Roberta, oprócz mieszkania i doskonałego wikt, zarabiałem kilkanaście jeszcze milrajsów w dodatku za nauczanie jego dzieci francuskiego.

Wtedy tych moich prywatnych uczniów było dwoje: dziewczynka czteroletnia (dziś już żona brazylijczyka i matka dwojga dzieci) i chłopiec dziesięcioletni. Śliczne to były dzieciaki i bardzo mnie polubiły tak, że godzinne lekcje z nimi były mi słodkim odpoczynkiem po walkach z niesforną setką dzieciaków w szkole.

Doznawałem przez parę tygodni olbrzymich trudności w poskromieniu i okiełznaniu zdrowych, na stepach lub w dziewiczych lasach hodowanych temperamentów polskiej młodzieży.

Jedynym wytchnieniem po prawie bezowocnych trudach uspokojenia klasy przy wykładach gramatyki, rachunków, a zwłaszcza portugalskiego, były dla mnie godziny deklamacji i śpiewów.

Te przedmioty moich małych wychowanców nadzwyczaj interesowały i podczas tych godzin cisza i porządek w klasie panowały wzorowe.

Przypuszczam, iż urodzone i podchowane w południowym klimacie dzieci polskich kolonistów dzięki właśnie temu, że nie zaznały jesiennych słońc naszych, posiadały przeważnie dużo lepsze głosy od dzieci naszych chłopów po polskich wsiach. Niektóre dziewczynki zwłaszcza odznaczały się wprost wybitnymi zdolnościami do śpiewów, muzykalnością i pięknym timbrem głosu. Naprzykład altowy o soczystym brzmieniu głos pewnej piętnastoletniej uczennicy dał mi natchnienie do wprowadzenia, obok śpiewów *unissono* i duetów, jeszcze tercetów, w których Wikta swym donośnym głosem wystarczała sama jako trzeci głos na cały chór dzieci.

Widząc w ochocie moich uczniów do śpiewania zachętę dla nauczyciela, gorliwie zacząłem ćwiczyć w śpiewach, (których coniemiarą umiałem napamięć z lat dzieciennych), moją czereďę i wkrótce doszedłem do bardzo dobrych rezultatów.

Ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, postanowiłem w szkole siłami uczniowskimi wystawić „Betleem Polskie” Rydla, które całe umiałem napamięć, graj ą w niem w teatrze ludowym w Kra-

kwie przed samym wyjazdem aż cztery role, co dzień przez parę miesięcy z rzędu.

Mój projekt wśród uczniów wywołał hałaśliwy entuzjazm. Całą sztukę, oczywiście, odpowiednio do szkolnych wymagań przykroilem i skróciłem, spisawszy ją z pamięci. Podyktowałem dzieciom, po obsadzeniu ról, każdemu z osobna ich partje i jestem przekonany, że żadne z dyktand w szkole nie było tek uważnie i troskliwie pisane, jak te role z „Betleem”.

Największe role grały starsze dzieci, umiej ące już dobrze czytać i uczyć się wierszy napamięć; reszta dzieciaków stanowiła chór i statystów.

Wspólnymi siłami mojemu ucznióm i ich matkom szyliśmy kostjummy, z bibulek, hurtowo fabrykowaliśmy anielskie skrzydła, strugaliśmy miecze i djabelskie widly.

Cała klasa podczas przygotowań do uroczystego przedstawienia żyła jak w gorączce.

Wejście na spektakl było bardzo tanie, a zresztą pantoflowa poczta rozniosła już famę o niesłychanem, wspaniem widowisku, jakie polska szkoła szykuje na święta Bożego Narodzenia, więc nic dziwnego, iż na widowni stworzonej z miejsc, gdzie uczniowie normalnie siedzieli, panował ścisk nie do opisania.

Z katedry zrobiłem scenę, zasłoniętą kurtyną z zielonego płótna.

Pomimo to, że całe przedstawienie odbyło się *a capella*, dzieci śpiewały bez zarzutu. Ani jednego fałszu nie zauważyłem, ani jednej syпки. Chłopak 14-0 letni, Bulikowski (dziś jeszcze pomnę jego nazwisko) zachwycił audytorjum rolą Heroda; dziewczynki zaś, przedstawiaj ące aniołów, w swych

białych sukienkach, wianuszkach na głowach, ze skrzydłami u ramion doprawdy bardzo ładnie wyglądały. Matkę Boską odtwarzała najładniejsza dziewczynka w klasie, (Andruszkiewiczówna) której parę razy groziłem odebraniem zaszczytnej roli, tak ją ponosił temperament i figlarne usposobienie podczas lekcji, które ją nic a nic nie obchodziły. Moje reżyserskie poczucie nie pozwoliło mi dotrzymać słowa i kara ominęła szczęśliwie małą swawolnicę, gdyż lepszej i bardziej odpowiedniej przedstawicielki dla tej roli nie mogłem znaleźć wśród grona moich dziewczynek.

Przedstawienie zrobiło w mieście kolosalne wrażenie i długo o niem mówiono, jako o sensacji w Curitybie, gdzie aż dotąd podczas całej mojej bytności żaden jeszcze teatr, ani inna trupa, prócz cyrkowej, nie popisywała się. Przez parę niedziel z rzędu zmuszony byłem powtarzać przedstawienia, póki wszyscy żądni widzenia „Betleem“, a wśród nich było też wielu nie polaków, nie zaspokoilo swego zainteresowania.

Gdy mój poprzednik wrócił z kolonji, gdzie życie pierwotne, posiadające urok dla anachorety lub dzikusa, nie mogło w żadnej mierze na dłuższy czas przywiązać do siebie młodego inteligenta wychowanego w Europie, chętnie zwróciłem mu jego przeze mnie chwilowo objętą posadę i po dwóch miesiącach żmudnej pracy, przestałem być „profesorem“ szkoły polskiej w Curitybie.

Chcąc na gwałt zebrać ilość gotówki potrzebnej dla uskutecznienia powrotu do kraju, wzięłem się do organizowania amatorskich przedstawień i koncertów. Wybierałem do grania sztuczki o rolach męskich, gdyż przez cały mój czas bytności w Brazylii, oprócz dwóch panien w Rio polek, ale nie władających oczystym językiem i wielu, wielu córek pułkownika, polaka, które bardzo słabo polskim się posługiwały, ani jednej panny ze sfer inteligentnych polskich nie spotkałem.

Było to bowiem wkrótce po 1890 roku, kiedy to pierwsi imigranci inteligencji z Polski tam się osiedlili. Grać więc w mym teatrze mogli rodzice, dzieci zaś tam urodzone, nie zdążyły jeszcze wtedy dorosnąć do ról nawet w amatorskim teatrze Południowej Ameryki.

Wystawiałem jednoaktówki popolsku i portugalsku, a w częściach koncertowych i niemieckie produkcje bywały uwzględniane, liczyłem bowiem na frekwencję mieszkańców Curityby, których gros stanowili brazylijanie, Niemcy i Polacy. Bardzo pochlebne recenzje gazet zachowałem sobie po dziś dzień na pamiątkę owych niezapomnianych przedstawień. Powodzenie materialne bywało rozmaite ale naogół, przy braku bardziej intratnego zajęcia, lepiej, że się coś niecoś zarabiał, niż gdyby siedzieć z założonemi rękoma i czekać beczynnym zmiłowania bożego.

Mieszkałem w tym czasie ciągle jeszcze u moich przyjaciół, zżycie z którymi zacieśniało coraz bardziej węzły przyjaźni. Poznałem dokładnie stosunki rodzinne mych chlebobodawców i wiedziałem, iż najmłodszy brat pana domy, Gustaw, przed pięciu laty puścił się gdzieś w dziewicze lasy i od tej pory wszelki słuch o nim zaginął. Państwo M.

byli przekonani iż nie żyje, jak wielu z tych, którzy w pogoni za chlebem, lub tylko pod wpływem głodu wrażeń, porzucali w tym kraju utarte gościńce, zbaczając w dziewicze puszcze i góry, które tak wiele zajmują miejsca na geograficznych mapach Parany pod nagłówkiem; „*Terenos Inconhesidos*“ nieznanne okolice).

Można sobie łatwo wyobrazić wrażenie, jakie na kochającej rodzinie sprawił nagle list od najmłodszego brata, który zawiadamiał, że żyje, po pięciu latach oswojenia się z myślą o jego śmierci.

W długim piśmie, gdzie brat donosił bratu o wszystkich przeżyciach w okolicach, gdzie dobrodziejstwo poczty nie jest jeszcze znane, zawiadomił go przy końcu, iż mieszka w mieście *Sao Bento*, gdzie zajmuje się praktyką dentystyczną. Dalej, pan Gustaw prosił na wszystko braci i ich rodziny, aby koniecznie zaryzykowali daleką podróż do miejsca jego pobytu, w celu uświetnienia swą obecnością jego wesela ze szwedką, córką tamtejszego aptekarza i burmistrza w jednej osobie.

Robertowi uśmiechała się ta bądź co bądź awanturnicza podróż, ale beze mnie absolutnie nie chciał nawet mówić o tej wycieczce.

Daremnie tłumaczyłem, że nie mam przyjemności znać jego brata, że w dodatku wizyta nieproszonego gościa u obcych mi szwedów, może u rodziców panny młodej wywołać zrozumiałe zdziwienie. Mój gospodarz uparł się, że mnie zabierze ze sobą, że gwarantuje iż spotka mnie tam przyjęcie z otwartymi rękami. Twierdził, że nie mam pojęcia o obyczajach brazylijskich, że tu gość jest rzadkością i świętością, która przynosi szczęście i błogosławieństwo, zwłaszcza podczas ślubu.

Mieliśmy jechać konno moi gospodarstwo, ja i młody człowiek, obywatel z Ukrainy, który bez określonego celu, jak i ja, przybył do Brazylii, ale zato z określonymi środkami do życia, gdyż przywiózł majątek w rosyjskich rublach.

I tak, we czwórce, wzięwszy służącego, muryzna do pomocy przy koniach, ruszyliśmy skoro świt z Curytyby, póki upał nie zacznie zbytnio dokuczać.

Jechaliśmy wesoło gromadką, a za nami poważnie stapały muły z bagażami, poganiane przez również na mule jadącego negra. Zanim dobiliśmy się do lasów, w których dość gęsto przepływają różne rzeczki i strumienie pełne porohów, siklaw i większych wodospadów, o wodzie nieraz jak lód zimnej, odczuwaliśmy brak wody i gwałtowne pragnienie dawało się nam i naszym zwierzętom we znaki.

Dowodził całą tą kawalkadą pan Robert, który z mapą w ręce i busołą kierował się wśród bezdroży parańskich stepów.

Olbrzymie trawy nieraz wszystkich nas z głowami kryły. Gdyby ktoś nas obserwował, miałby wrażenie, iż cały oddziałek konny raz po raz tonie w trawach, jak dziurawa łódź w falach morskich.

Innym razem bujną, soczystą, podzwrotnikową roślinność stepu zamieniała uboga, spalona prostopadłymi promieniami słońca, mizerna, mała trawa, a wreszcie kamienista, żwirowata pustynia.

Wkońcu z daleka z prawdziwą ulgą ujrzeliśmy zarysy jakichś domostw. Było to małe miasteczko, gdzieśmy znaleźli jedzenie z jaj, masła i mleka się składające, a nadewszystko zaspokojenie pragnienia za pomocą piwa, które mi smakowało

jak najwspanialszy pilzner na miejscu w Pilźnie, lub okocimskie w prywatnych apartamentach Goetza-Okocimskiego, które tam piłem kiedyś, będąc z wycieczką chóru akademickiego u słynnego piwowara w Małopolsce.

Po parogodzinym wypoczynku, po powtórnym napojeniu koni na zapas na drogę, probowaliśmy wypić jeszcze po butelce miejscowego piwa. Bez uprzedzenia gwałtownem jak za pierwszym razem pragnieniem, napój we flaszkach z napisem „serveja“ (piwo) okazał się tym razem niemożliwy do picia, i lużą o nieokreślonym smaku.

Nim słońce zaszło, rozbiliśmy namioty u brzegu dziewiczej puszczy.

Rozgrzane przy wesoło trzaskającym ognisku konserwy, zakrapiane mojej roboty litewskim krupnikiem, smakowały nam wybornie. Zmęczeni całodzienną podróżą, wypity alkohol i zapach balsamiczny drzew terpentynowych, araukaryj i pinjorów rzuciły nas w objęcia Morfeusza.

Co dwie godziny jeden z nas pilnował pokolei śpiących.

Z wielką przykrością zabierałem się na drugi dzień do wstawiania, z trudem budzony przez mego „patrona“.

W lesie wędrowaliśmy teraz przeważnie wyschniętymi łożyskami rzeczółek i strumyków. Rzadko kiedy brakło nam tych naturalnych ścieżynek, żeśmy musieli z trudnością przebijać się przez gąszcza drzew, splątanych ljanami. Najbardziej dawała się nam we znaki nierówność terenu, po którym musieliśmy konno przejeżdżać. Nieraz przed oczami zmęczonych jeźdźców otwierała się jakaś przepaść nie do przebycia i trzeba było zawracać.

szukając innej drogi, aby ominąć to bezdroże. Innym razem spadzista droga zmuszała do opuszczania po linie nasze bagaże i naszą towarzyszkę niezmordowaną „patroę“, co wymagało dużo trudu i zmniejszało kapitalnie szybkość całej podróży.

Nocowaliśmy zwykle u źródła, które dawało nam i naszym zwierzętom krytyczną, czystą, zimną jak lód wodę. Podczas szalonego upału, po poważnem zmęczeniu konną jazdą, a nieraz przechadzką pieszą z siodłami na głowach, które co jakiś czas trzeba było z koni zdejmować, aby się nie odparzyły—woda ta z domieszką czerwonego wina była wspaniałym napojem, którego smaku do dziś zapomnieć nie mogę.

Kiedyś w podróży natrafiliśmy na jakąś facjendę.

Wszyscy mieszkańcy chałupy wylegli na nasze spotkanie. Był to „cabaćlo“ z żoną i gromadką dzieci, z których najstarszy chłopiec lat 17-u zainteresował się najbardziej nami i zaraz wszedł ze mną w pogawądkę.

Podziwiał naszą odwagę, z jaką puściliśmy się w tak niebezpieczną podróż, w zupełnie nieznaną sobie gąszcz nieprzebytej, zdawałoby się, puszczy. Tłumaczył nam, że przecież możemy i indjan, niezbyt przyjaźnie dla białych usposobionych, spotkać i paść ofiarą chciwych na nasze skarby (zegarki, broń, konie, muły) półdziko żyjących w puszczy „cabaćlos“.

Chociaż dotąd nieświadomiałem sobie niebezpieczeństwa związanego z naszą dość lekkomyślną wycieczką, jednak wywody leśnego młodzieńca wywołały lekki dreszcz tremy na moich plecach.

Tu wmieszał się mój „patrao“ do rozmowy. Dowodził chłopcu, wciągnawszy i starego kabokla do rozmowy, iż posiadamy broń, która nie da dostępu do nas, a jest ostatnim wynalazkiem z Europy. Tu wyjął browning i objaśniał jego zalety kaboklom. Z widocznym zaciekawieniem oglądali nieznanie sobie jeszcze narzędzie śmiercionośne.

— Daje dziewięć strzałów jeden po drugim— rzekł demonstrator i cały magazyn wystrzelał, celując w sąsiednie drzewo.

Kaboklo w uśmiechu pokazał białe, jak mleko, zęby i rzekł, myśląc, iż przyłapał słabą stronę tej broni:

— A po dziewięciu strzałach kilku kabokłów nietylko z naszymi zwykłymi strzelbami, ale uzbrojeni w broń sieczną, a nawet indjanie z dzidami i łukami mają do was łatwy przystęp. Jesteście bezbronnii!

Tu chciał zartem schwytać swego rozmówcę za rękę.

Robert odskoczył parę kroków, szybko wyrzucił wystrzelony magazyn, założył momentalnie drugi i znów dał do pnia pinjora 9 strzałów.

— I tak dalej bez końca — dodał śmiejąc się i chowając browning do kieszeni.

Kabokle spojrzeli po sobie i widocznie nabrali do nas szacunku.

Sprawili nam gościnne przyjęcie czem chata bogata i absolutnie żadnej zapłaty od nas nie chcieli przyjąć. Zrewanżowaliśmy się im poczęstunkiem z naszych zapasów i litewskim krupnikiem, który napewno wtedy pierwszy raz mieszkańcy lasów pili w Południowej Ameryce.

Mieliśmy nadzieję, iż spanie pod dachem domostwa pierwszy raz od czasu naszego wyrusze-

nia z Curytyby, będzie nieładą ulgą w trudach podróży. Omyliliśmy się. Niestety, zaledwieśmy smacznie zasnęli, leżąc pokotem na sianie wraz z rodziną kabokłów na podłodze chałupy, a już, niewidziane nigdy dotąd w podobnej ilości pchły, pobudziły nas jednocześnie w jednej chwili.

Gdyśmy zapalili świecę, skaczące czarnuszki wyglądały jak pył węglowy unoszący się nad kopalnią. Gdyś zamknął garść bez wyboru miejsca, miałeś ją pełną pcheł.

Natychmiast przenieśliśmy się na dwór i tam po oczyszczeniu się, o ile to było możliwe, z odziedziczonych z gościny u kabokla pcheł, zasnęliśmy na trawie, jak zwykle dotąd.

— — — — —
Z dzikich zwierząt nie spotkałem w tej podróży żadnego. Raz tylko, podczas pojenia koni w rzece o piaszczystych brzegach, na mokrym piasku spostrzegłem wyraźne, jak w gorącym wosku odcisnięte, ślady drapieżnego zwierza, które nasz murzyn rozpoznał, jako jaguara. Widziałem zaś w dużej obfitości małpy, papugi i parę pancerników, zwanych tu „tatu“.

Jednego pancernika upiekliśmy, a smak tego zwierzaka uznaliśmy za wyborny.

Nasz „patrao“ znowuż kiedyś strzelił do drzewa wprost oblepionego zielonemi papugami. Kilka z nich martwych padło na ziemię, gdy reszta z przeraźliwym wrzaskiem na odgłos strzału poruwała w dal.

Rosół z tych papug smakował nam wybornie i był znacznym urozmaiceniem naszego dość jednostajnego „menu“.

Kurczęt nigdy w kraju nie dałem z pierzy i pierwszy raz spełniałem tę funkcję dopiero w stosunku do papugi.

— — — — —

Nasz obóz wędrowny nieraz rozciągał się, gdyśmy jechali gęsiego.

Kiedyś, jadąc w dużym oddaleniu od czoła oddziału, chcąc go dogonić, gdy popędziłem konia, z niezmiernym zdziwieniem spostrzegłem mych towarzyszy na obszernej polanie, otoczonych przez kitkunastu indjan.

Wyjałem browning i namyślałem się, czy zbliżyć się, aby mym przyjaciółom dać pomoc, czy stąd rozpocząć odsiecz.

Wnet jednak spostrzegłem iż, narazie przynajmniej, indjanie są jaknajżyczliwiej dla niezwykłych gości usposobieni.

Wkrótce siedziałem wśród ich obozu, jak mi się to nieraz zdarzało w Polsce wśród naszych cyganów.

Rozmowa z nimi była bardzo utrudniona. Jeden z indjan, wyglądający na naczelnika, olbrzym o niebywale szerokich ramionach, starszy już mężczyzna znał trochę wyrazów portugalskich, z których „cachasa“ (wódka) i „vinho“ powtarzał najczęściej i ze specjalną lubością. Trzeba się było porozumiewać na migi. Odrazu z punktu nasz „patrao“, jak poprzednio kabłokom, teraz też indjanom zademonstrował praktyczność browninga w razie koniecznej obrony przed napadem, aby zabezpieczyć się od prób zakłócenia nam spokoju przez dzikich.

Byli to „bugros“, plemię indjan dość spokojne, prawie nigdy nie napadające na białych, a żywiące się tem, co mężczyźni upolują, lub najczęściej przysmażanymi na węglach tłustymi robakami, podobnymi do poczwerek naszych chrabaszczów, a gniedzającymi się pod korą pinjorów.

Podczas wspólnej uczty przy wspólnym ognisku częstowaliśmy autochtonów tej ziemi pasztetem z puszki, sardynkami, suchą kiełbasą, a najobficiej, mojej fabrykacji krupnikiem. Nawet indjanki nie gardziły tym trunkiem gorącym, na który składał się spirytus, miód, goździki, gałka muszkatułowa, skórka pomarańczowa i cynamon. Wyrwały one mężczyznom łapczywie, przez nich wypijane szklanki z ognistym trunkiem i nieraz omal że nie dochodziło do bójki na tem tle.

Podziwiałem wytrzymałość mężczyzn i kobiet indyjskich na zmianę temperatury przy zachodzie słońca. Prawie nadzy całą noc spali bez nakrycia na matach z łyka „szipo“ plecionych, chociaż w puszczy chłód po upalnym dniu nawet pod nakryciem koca dawał mi się we znaki.

W okolicach, przez które przyszło nam wędrować, niema indjan „botocudos“, jednych z najdzikszych plemion na świecie i do dziś podobno nie gardzących mięsem ludzkim. Tam, gdzie żerują botokudzi, rzadko kiedy biały człowiek wybiera się w poszukiwaniu niebezpiecznych przygód, a najczęściej śmierci.

Z tymi niebezpiecznymi dzikusami sąsiadują przeważnie polskie kolonje, (naprzykład znana mi Lucena). Zdarza się, iż nasz polski chłop zapędził się w rezerwat botokudów w poszukiwaniu owcy zaginionej, lub na polowanie. Jeżeli indjanie odkryją obecność białego w rejonie, który uważają

za swą własność, w granice którego niewolno obcemu pod żadnym pozorem przenikać, to, o ile nie uda im się ukarać śmiałka i umknie z całą fryzurą, uniknąwszy oskałpowania — często nocą kolonja bywa napadana przez zemstę. Indjanie mordują ludzi i uprowadzają do lasów bydło.

Zamordowanych sadzają w kucki po rogach chaty, w takiej pozycji, w jakiej chowają swoich nieboszczyków. Jest to z ich strony wyraz szacunku przed majestatem śmierci.

Botokudzi nie znają żelaza, a zdobycie na białym wrogu kawałka noża, gwoźdźcia, lub czegoś w tym rodzaju gotowi nawet życiem przypłacić, tak kawałek żelaza lub stali jest dla nich pożądana zdobyczą.

Spotykałem wielu indjan i przyszedłem do przekonania, iż wśród brazylijskich przedstawicieli tej pięknej rasy można znaleźć typy od najdzikszych ludożerców z ozdobami z drzewa, kości, muszli, dziurawiących ich wargi, nosy i uszy, aż do spokojnych bugrów, którzy w okolicach zaludnionych białymi zapędzają się nieraz do kolonij, a nawet miast, gdzie zebrzą i kradną, zupełnie jak nasi cyganie. Składając wizyty białym, ci indjanie ubierają się w łachmany, darowane im przez miłosierne gosposie. Widziałem indjanki w niemożliwie podartych męskich spodniach i jednego indjanina w twardym, jedwabnym cylindrze, oczywiście, bardzo zfatygowanym, który ja sam własnoręcznie darowałem indyjskiemu żebrakowi, gdyż w drodze z Europy w mym kuferku zgniótł się nie do odprasowania.

Indjanie spotkani przez nas przypadkowo w lesie tak sobie upodobali w naszym towarzystwie, że, gdyśmy na drugi dzień ruszyli w dalszą podróż, zwinęli obóz i dotrzymywali nam towarzystwa aż do miejsca, gdzie kończył się las a zaczynały stepy.

Leśne ścieżki, których na skraju puszczy było dużo, schodziły i zlewały w jedną wydeptaną drogę, która już na stepie zmieniała się na szeroki i wygodny trakt. Odkrycie przez nas tej arterji komunikacji wskazywało na bliskość większego osiedla białych, a, według wskazówek mapy, prawdopodobnie celu naszej podróży, miasteczka *Sao-Bento*.

Rzeczywiście, w parę godzin wędrowki kamienistą drogą pod upalnymi promieniami słońca, oczom naszym w oddali ukazały się zarysy miasteczka.

Z prawdziwym żalem odwracałem głowę w przeciwną stronę, gdzie na horyzoncie siniał pasek brazylijskiej puszczy, którą przed paru godzinami opuściliśmy. Żal mi było nie tylko przyjemnego chłodu, panującego stale w dżungli, gwaru przedstawicieli brazylijskiego ptactwa i częstych spotkań z kryniczniemi źródłami krystalicznej wody. Przejmowało mnie przykre uczucie, którego zawsze doznaję, gdy przyjdzie mi porzucić pierwotną naturę i wracać na łono cywilizacji.

Tej samej przykrości doznaję, wracając z leśniczki do miasta, z lasu do chaty, z dzikiego parku przechodząc na równe, regularne uliczki strzyżonego ogrodu.

Po gwarze, jaki w lesie czyniły ptaki, małpy, owady — tu panowała cisza, martwota. Ani śladu

jakiegoś strumienia, nic, tylko zrudziałe resztki wyschniętych badyli i traw, żwir, kamienie i rozprazony pionowymi promieniami piasek.

Tak się wybornie czułem w puszczy, iż miałem wrażenie, że mógłbym jak „caboclo“ szczęśliwie, szczęśliwiej, niż wśród rozgwaru cywilizowanego świata — przeżyć przeznaczony mi na pobyt na naszej planecie okres czasu.

Teraz zbliżyliśmy się do miasta, gdzie czekały mnie nowe znajomości, gdzie miałem znaleźć się w zupełnie obcym mi towarzystwie, które, w dodatku nie byłem pewien jak też mnie przyjmie. Wrodzona mi nieśmiałość do dziś dnia napawa mnie pewną treścią, gdy mam się znaleźć po raz pierwszy w nowym otoczeniu.

Nic dziwnego, że raz wraz z tęsknotą zwracałem oczy tam, gdzie porzucona przez nas niedawno puszcza, majaczyła już w dali, jak smuga błękitnawej mgły, niby pasmo morza.

— — — — —

Nasz wjazd w rogatki miasta wzbudził w jego mieszkańców zrozumiałe zaciekawienie.

Wszystko, co żyło, wyległo na ulicę i towarzyszyło nam aż do apteki, do której życzliwie ktoś zapytany wskazywał nam drogę.

Prawdopodobnie chłopaczki, baraszkujące przy naszej kawalkadzie, usłyszawszy dokąd zmierzamy, wyprzedzili nas i dali w aptecze znać, iż jadą do burmistrza jacyś dziwni goście, gdyż już na parę domów przed tem, gdzie za chwilę mieliśmy być tak gościnnie przyjęci, zostaliśmy owacyjnie

witani przez burmistrza, pana Gustawa, brata mojego chlebobdawcy, jego narzeczoną i jej siostrę.

Mnie i mojego towarzysza niedoli, młodego obywatela z Ukrainy, który był w tem towarzystwie w jednakowem ze mną położeniu, gdyż nikogo nie znał — chwytano raz po raz w objęcia, klepiąc serdecznie po plecach brazylijskim zwyczajem.

Ledwie znaleźliśmy się na werandzie apteki, domyślna gospodyni, zanim zaprezentowaliśmy się formalnie całej sosjecie, poczęstowała podróżników zimną jak lód wyborną lemonjadą. Liczna służba pana burmistrza odebrała konie, aby nas wyręczyć i troskliwie się nimi zaopiekować.

Podczas pierwszych zadzierzgań znajomości zapanowała w jednej chwili tak sympatyczna atmosfera, że nawet my dwaj kawalerowie odrazu uczuliśmy się, jak wśród grona dobrych a dawnych znajomych.

Wiść o przybyciu gromady gości Bóg wie skąd obiegła pantoflową pocztą momentalnie po całym Sao-Bento. Wkrótce zaczęli się zjawiać z odwiedzinami co znakomitsi przedstawiciele miasteczka, zwabieni obecnością rzadkich tu przybyszów z dalekich stron, a więc: lekarz, pocztmistrz, komendant policji i t. d.

Jeszcze wieczorem tego dnia czułem się dobrym znajomym całej elity miasta, o którego istnieniu na mapie Ameryki jeszcze przed dwoma tygodniami nie wiedziałem wcale.

Rzeczywiście, atmosfera w domu jutrzejszej panny młodej była tak szczerą, pełną prostoty

i wesołości, że w tych warunkach w Europie, ani nawet w bardziej cywilizowanych okolicach Brazylii tego się nie spotyka.

Podczas wesela, które cały tydzień trwało, panowała atmosfera tak beztraska i pełna temperamentu, iż ten ogólny nastrój i mnie się udzielił do tego stopnia, że nie lubiąc przedtem tańczyć i nigdy nie prowadząc tańców na balach, w tym jedynym wypadku odegrałem rolę głównego wodzireja.

Pamiętam, że się starałem wprowadzić w modę dzikie figury do kadryla, jak na przykład picie wina wprost z pantofelka panny młodej.

Po kolejce tego toastu za jej zdrowie, obuwie było już na nic i białe pantofle musiała zamienić potem na zwykłe lakierki. Jak płonniemi były moje obawy, czy nie zrobimy my dwaj nieznanymi niemiłej dystrakcji swoją obecnością jako zupełnie obcy podczas rodzinnej uroczystości, — jest fakt, iż zaproszono nas jako jedynych w gronie orszaku ślubnego „solteiros”, (kawalerów) na družbów.

W miasteczku wesele burmistrzanki musiało później stanowić epokowe zdarzenie, gdyż przez tydzień dosłownie całe São-Bento niem żyło. Zabawa nieraz przenosiła się na ulice i za miasto. Spacerzy, poczęstunki na werandzie apteki przygodnych przechodniów, wreszcie tańce z nieznanymi nam spacerującymi dziewczętami pod oknami apteki, na środku ulicy, a gromadzące licznych widzów, — wszystko to zwracało uwagę mieszkańców miasteczka przez cały tydzień na dom burmistrza.

Pożegnanie było wprost czule, serdeczne. Proszono nas o częste odwiedziny. Z przykrością

czułem, iż obiecując rychłą powtórna wizytę w São-Bento, nie będę w stanie dotrzymać mej obietnicy. Takich spacerków nie odbywa się w życiu parę razy, ..

Zadzierzgnięte węzły znajomości ze szwedami, pomimo odległości, jaka mnie wkrótce potem oddzielała od nich, nie zerwały się odrazu, bo nie tylko w Curytybie otrzymywałem korespondencję z São-Bento, ale nawet jeszcze jakiś czas w Europie.

— — — — —

Powrotna podróż trwała dłużej cokolwiek. Byliśmy zmęczeni już odbytą kawalkadą przez dziewicze lasy, stepy i pustynie, a po niej nie zdążyliśmy wypocząć w czasie tydzień trwającej zabawy weselnej. Owszem, przeciwnie. Do zmęczenia uciążliwą drogą i niewygodami dołączyło się teraz znużenie i niewyspanie podczas pobytu w São-Bento.

To też, gdyśmy szczęśliwie bez wielkich przygód i wypadków w drodze, znaleźli się nareszcie w domu, 48 godzin nie byliśmy w stanie oderwać ciężących nam głów od miękkich poduszek.

Ani nieznośny brzęk moskitów, ani ich złośliwe ukąszenia, ani upał, panujący w alkowach pozbawionych okien, nie były w stanie wytrącić z głębokich objęć Morfeusza nieprzywykłych do wędrówek po bezdrożach brazylijskich.

Redaktor „Polaka w Brazylii”, w którym to piśmie od czasu do czasu współpracowałem, zaproponował mi napisanie powieści do odcinka jego pisma.

Zabrałem się ostro do roboty, mając na względzie, iż honorarjum za tę pierwszą moją pracę literacką na większą skalę, ułatwi mi i przybliży kapitalnie termin powrotu do kraju.

Dłuższy mój pobyt w Ameryce Południowej nie wyczerpałby doszczętnie szablonowego programu, gdybym nie zaznał wrażeń „gorączki złota“.

Mimo to, że nie skończyłem jeszcze mej powieści pod tytułem „Za wolność“, przerwałem w środku jej pisanie, gdy czterech młodzieńców, rodaków zaproponowała mi wspólną wycieczkę w góry po złote runo.

Jeden z nich dopiero co zawitał do Parany, jako zupełnie świeży tułacz po nieprzedstawiających ponętnego pola pracy dla polskiej inteligencji kolonjach.

Trzej inni byli mi dobrze znani, dawniej niż ja bawiący w Ameryce, młodzi polacy.

Przygotowania do pieszej podróży w niezbyt od miasta odległe okolice załatwiliśmy w przeciągu paru godzin. Polegały one tylko na zakupieniu niezbędnych zapasów żywności, (mąki maniokowej, słoniny, soli) arkusza blachy dla zrobienia z niej prymitywnej płuczki do przemywania piasku, w którym znajdowały się ziarenka drogiego kruszcu, no i szpadli do kopania złotodajnej ziemi.

Obladowani, każdy odpowiednio do sił swoich fizycznych, wyruszyliśmy przed świtem w stronę rogatek pod kierunkiem mego kuzyna, który miał nam wskazywać drogę, jako człowiek doświadczeńszy od nas, gdyż już koło trzech lat waleśał się po stepach, lasach okolicznych i kolonjach.

Nie spiesząc się i dość wolno oddalaliśmy się od miasta.

Gdyśmy się już znaleźli w puszczy, spożyliśmy skromny posiłek, który składał się z pinjorowych szyszek, gotowanych w kociołku i maczanych w soli, kapitalnie nam smakujących i owoców leśnych, których tu obfitość była olbrzymia. Oprócz znanych nam pomarańcz, granatów, pigw, było tam i wiele innych, które smakowały nam nadzwyczajnie, a których nieraz nazw nie znaleźliśmy. Popiwszy ten niewyszukany obiad brazylijską herbatą z sacharyną, która mniej ważyła od cukru i dlatego nam w podróży zastępowała ten produkt — oddaliśmy się krótkiej drzemce w cieniu szerokich bananowych liści.

Idąc dalej naprzód, wesoło sobie gawędząc i pośpiewując dla skrucenia drogi, doszliśmy, jeszcze, nim słońce zdążyło wsiąknąć w gęstwinę lasu, do jakiejś opuszczonej chaty.

Wokół niej niewielka tylko przestrzeń wykarczowana wskazywała na to, że pionierzy, którzy tu zamierzali widać na dłużej się osiedlić, skutkiem nieznanych nam przyczyn, porzucili rozpoczęte dzieło i czy dalej się wynieśli, czy też wogóle porzucili te bezludne kraje, wracając tam, skąd nieopatrznie wyemigrowali. W prymitywnej, typowej chacie kolonisty brazylijskiego, własnoręcznie przez niego stawianej, — znaleźliśmy trzy tapczany, zwane „tarima“ i jedną kołyskę. Niestety, nie znaleźliśmy napisu albo jakiegoś znaku, które dałyby się nam domyśleć, kto był przed nami właścicielem domu i jakiej był narodowości.

Na jedną noc zostaliśmy my jej władcami i nawet komuś z naszej piątki tak się spodoba-

ła, iż rzucił śmiałą propozycję, aby tu pozostać i zacząć pracować na „szakrze”. („Szakier”—spolszczony wyraz portugalski „chacra”, oznaczający gospodarstwo leśno-rolnicze).

Mimo, jak na stosunki dzikiego południa, znalezionych w opuszczonej przez niefortunnych kolonistów chacie niezwykle wygod, zaraz na drugi dzień rano puściliśmy się w dalszą podróż i tego samego dnia jeszcze stanęliśmy u brzegu rzeki, którą doświadczony, mój kuzyn, uznał za niosącą w swem korycie piasek, z którego możnaby wyplukać pewną dozę złota.

Tu napoczekaniu rozłożyliśmy obozowisko. Ta buda, sklecona byle jak, ale zato przędko z patyków, gałęzi, liści bananów i palm, oraz „tacuary” (trzciny) tak mało miała wspólnego z pomieszczeniami używanymi jako schronienia dla ludzi, że chata, którąśmy przed kilku godzinami opuścili, wydawała nam się teraz we wspomnieniu, jako wspaniały pałac z bajki.

I zaczęła się praca ciężka i wyczerpująca, zasadzająca się na wybieraniu z dna rzeczki piasku i noszeniu go workami do płuczki. Jeden z nas kręcił miednicę, napełnioną piaskiem pod prądem wody, spadającej z wysoko i wbijającej swym ciężarem cięższych od ziarenek zwykłego piasku—ziarenek złota, które po pewnym czasie, jeżeli wogóle się znajdowały w danej porcji, to tylko na samem dnie miednicy.

Jako podtrzymanie sił potrzebnych nam do tej wyczerpującej, a bardzo mało popłatnej pracy, mieliśmy dość skąpe i mało urozmaicone jedzenie. Najczęściej byliśmy tak zmęczeni, że obiecywane potrawy, które miały być sporządzone na obiad

lub kolację, zostawały zwykle odkładane na kiedyś indziej i kończyło się najczęściej na „farinhi” (mąka z manjoka) przużonej na słoninie.

Po dwóch tygodniach każdy z nas miał tego dobrego dość i wśród nas epidemia „gorączki złota” samorzutnie wygasła, bez żadnych z naszej strony dla jej zwalczenia przeciwdziałań. Postanowiliśmy, iż brazylijskiej tradycji stało się zadość, a ilość wyplukanego przez nas złotego piasku wystarczy, abyśmy się nim podzielili po bratersku i zachowali sobie po parę ziarenek drogocennego kruszcu na pamiątkę. Było go bowiem zbyt mało, aby opłaciło go się przehandlować na gotówkę.

Wracając, wstąpiliśmy do opuszczonej chaty. Gdyśmy tam znów przenocowali, moi czterej towarzysze zawiadomili mnie, że wcale im się do Curytyby nie spieszy, gdzie prócz braku mieszkania i długów, nic ich ciekawego nie czeka. Zaproponowali mi, abym sam dalej powędrował, jako jedyny z tego towarzystwa, na którego państwo M. z niecierpiwością oczekiwali z komfortowym pokojem, wygodną pościelą i smacznym pół-europejskim wiktem.

Pożegnałem ich z żalem i ruszyłem samotnie w powrotną drogę.

Czyż choć na chwilę mogłem przypuszczać, że żegnając ich na odchodnem, jednego z nich nie będzie mi sądzono już nigdy zobaczyć.

Gdy w jakiś czas tylko z nich trzech wrócili z puszczy zatroskani, pełni tragicznego smutku, dowiedzieliśmy się od nich, iż najmłodszy towarzysz, ów polak, który dopiero co zawitał do Parany, wyszedł kiedyś rano z chaty i nie wrócił na noc. Trzej zrozpaczeni zniknięciem towarzysza

polacy robili przez parę dni i nocy forsowne poszukiwania w okolicy domu. Podpalono olbrzymi pinjor, aby wznoszący się w górę dym i płomień mógł być spostrzeżony przez zaginionego, gdyby ten przypadkowo zabłądził w puszczy.

Nawoływali coraz słabszymi głosami, wycieńczeni forsownem przeszukiwaniem leśnych gąszczów, nieszczęsnego towarzysza. Dla niego Parana, ta kraina, skądinąd mlekiem i miodem płynąca, okazała się niegościnna i stała się grobem odrazu na wstępie przy pierwszym spotkaniu się nowego przybysza oko w oko z tajemniczem wnętrzem niezbadanej puszczy.

Niestety; wyjechałem w parę miesięcy później z Brazylii i pomimo specjalnej ekspedycji zorganizowanej dla poszukiwania zaginionego, do końca nic o mym trzytygodniowym towarzyszu nie słyszałem więcej.

Po wojnie dowiedziałem się, że nigdy już na najmniejszy ślad po wówczas zaginionym w puszczy nie natrafiono i do dziś dnia tajemnica nieszczęsnego wędrowca została nierozwiązaną zagadką.

Ileż jej podobnych kryją nieprzebyte gąszcze puszczy brazyjskich, niedostępne urwiska skalistych gór i bezbrzeżne stopy?...

Obładowany kilku ziarnkami złotego piasku, syt wrażeń wróciłem do Curityby.

Tu odrazu gorączkowo zabrałem się do wykończenia mojej pierwszej powieści. Uwieńcze-

niem tego przedsięwzięcia miał być mój powrót do kraju, tęsknota za którym nabawiła mnie już początków nostalgji. Zanim jeszcze napisałem na ostatnim skrawku papieru mej powieści upragniony wyraz „koniec“, wysłałem już do agencji nawigacyjnej w Paranagua list z prośbą o dokładne informacje co do kosztów podróży do Europy, co do dat wyjścia najbliższych okrętów z Santos lub Rio de Janeiro i statków, którymi mógłbym się na czas dostać z Paranagua do Santos, a ewentualnie do Rio.

W parę dni po wysłaniu listu otrzymałem wyczerpującą odpowiedź. Okazało się, że okręty transatlantyckie dość często wstępują do Santos i Rio, płynąc z Argentyny do Europy, za to gorzej sprawa się przedstawiała z dostaniem się z małego portu Parany do jednego z wielkich portów Brazylii. Statki między Paranagua, a innymi miejscowościami bowiem krążyły bardzo nieregularnie i rzadko, a wogóle przeważnie tylko w miarę potrzeby. Obiecano mi telegraficznie dać znać, gdy najbliższy statek będzie z Paranagua miał wyruszyć na północ, a tam już kwestją paru dni będzie doczekanie się okrętu, który dowiezie mnie do Genui, Hamburga lub Bremy.

Z nadesłanych mi prospektów najwięcej spodobał mi się okręt „Mendoza“, który pierwszą właśnie podróżą do Brazylii inaugurował wtedy stałą komunikację włoskiej linii „Lloyd Italiano“.

Niecierpliwość oczekiwania pomyślnego statku pobrzeżnego, któryby na czas dostarczył mnie na pokład „Mendozy“, denerwowała coraz bardziej. Fundusze niezbędne na powrót do kraju miałem już zebrane, Z przykrością obserwowałem jak

każdy dzień zwłoki z wyjazdem uszczupla i tak szczupły mój zesób gotówki. W mieście mimo woli pieniądze się wydają, choćby się postanowiło jaknajsolenniejskrupulatną oszczędność. Niecierpliwość oczekiwania nie pozwoliła mi na normalne spędzanie czasu w Curitybie. Włączyłem się jak cień z kąta w kąt domu i z ulicy na ulicę. Najchętniej przesiadywałem w „paseo publico“, gdzie znajdowałem spokój w samotności, który pozwalał mi bez przeszkody oddawać się marzeniom o oczekującej mnie poroży do Europy.

W tym czasie, gdy ja miałem porzucić ten piękny, niezapomniany kraj może nazawsze, z Krakowa zawitali doń dwaj absolwenci szkoły handlowej, bracia. Zaznajomiłem się z nimi i z najwyższym zaciekawieniem dopytywałem ich o zdania w podwawelskim grodzie przez półtora roku, od czasu, gdy mój żon wywędrował do Ameryki.

Przywiózłszy ze sobą niewielki kapitalik, nie czekali aż im się pieniądze rozejdą, lecz coś na trzeci już dzień po swem przybyciu do Curityby. zakupili czwórkę koni, porządny wóz, płótno, które przy mojej i mego kuzyna pomocy nasycili pokostem i przerobili na budę, mogącą służyć za przewoźny dom, gdy się ją nad wozem wzorem cyganów rozpięło. Ona miała chronić od deszczu i spiekoty podczas podróży.

Bezczynne oczekiwanie w Curitybie na wiadomość z agencji nawigacyjnej uprzykrzyło mi się dostatecznie, tak, że gdy dwaj bracia z Krakowa i mój kuzyn zaproponowali mi, abym im towarzyszył w ich wyprawie na kolonie, bez wahania zgodziłem się odbyć z nimi tę pożegnalną dla mnie wędrówkę po okolicach Parany, zaludnionej przez ważnie imigrantami z Polski.

Starszy z dwóch krakowiaków miał aparat fotograficzny i wszelkie przybory do wywoływania klisz i robienia z nich odbitek. Miał zamiar korzystać z aparatu nie tylko dla własnej przyjemności, dla zaspokojenia której cudowne z niczem nieporównane widoki, ciekawe typy ludzi, nieznanam nam zwierzęta, ptactwo i rośliny stanowiły kapitalne pole. Postanowił sobie bowiem za tanie pieniądze, lub sposobem zamiennym przehandlować zdjęcia kolonistów, ich rodzin i domostw, pragnącym w fotografiach mieć sensacyjną pamiątkę jaka w puszczech i stepach Brazylii była wówczas niewidzianą rzadkością.

Młodszy krakowianin miał zamiar zarabiać stryżeniem kolonistów maszynką zero, którą przywiózł ze sobą z Europy, a która po kolonjach budziła ogólny podziw. Mój kuzyn i ja wiedliśmy przy dwóch braciach typowo cygański żywot, nie mając określonego zajęcia. Ja trochę przy wywoływaniu klisz pomagałem starszemu; obaj zaś z kuzynem mieliśmy pieczę nad końmi i wozem. W nocy zwykle co jakiś czas zmienialiśmy się, aby czuwać nad całością dobytku, jeśli nam przyszło przypadkiem nocować pod gołym niebem.

Na kolonjach, zwłaszcza polskich, przyjmowano nas z otwartymi rękoma. Zwykle najzamożniejszy kolonista zapraszał najbliższych sąsiadów i urządzał na naszą cześć ucztę.

Zasobni w różne niezbędne, a w Brazylii nieraz uchodzące za zbyt kosztowne, przedmioty, nasi kompanjoni nie zapomnieli ze sobą zabrać w objazd po kolonjach gitary, mandoliny, a nawet arystona z wielkim zapasem nut. Śpiewy przy akompanjamentach gitary i mandoliny oraz ochocze tany przy arystonie, kręcenie korby którego było przy-

wilejem dzieciaków, zyskiwały nam jeszcze bardziej sympatię zwłaszcza młodych dziewcząt, córek kolonistów i czyniły nas przedmiotem zazdrości poszczególnych gospodarzy. Prostu wrywano nas sobie. Co zasobniejszy kolonista w zapasy wędlin, a zwłaszcza wódki i wina czuł sobie za punkt honoru nas ugościć, na czym okoliczni jego sąsiedzi korzystali, biorąc w ucztę czynny udział. Mam wrażenie, że w ten sposób, jeżdżąc rzemieńnym dyszlem od chaty do chaty, od kolonji do kolonji, moglibyśmy do dziś dnia tam prowadzić cygański, beztroski żywot.

Jadąc kiedyś przez step, zapadliśmy razem z wozem i końmi w taki gąszcz traw i zielska rozmaitego, że niepodobieństwo było posuwać się dalej z całym naszym taborem w tak powolnym tempie. Jechaliśmy właściwie bez określonego celu, ale mieliśmy zamiar wędrować w obranym raz kierunku, nie chcąc się cofać do opuszczonej niedawno kolonji.

Starszemu z krakowian, gdy z trudem próbował oczyszczać piasty i ósie kół z poplątanych i wręczających się traw, odgrywających rolę mechanicznych hamulców dla naszego wozu, — przyszedł pomysł do głowy, aby podpalić step i w ten sposób otworzyć sobie drogę równą, jak po stole.

Z początku wahaliśmy się, nie będąc pewnymi, jaki rozmiar przybierze lekkomyślnie podłożony pożar, ale po gorących debatach, my opozycjoniści postanowiliśmy nie sprzeciwiać się w zrealizowaniu pomysłu naszemu towarzyszowi podróży.

(W tym wypadku dominującą rolę, jak przypuszczam, odegrał w nas ten sam motyw psychologiczny, który dał bodziec Neronowi do podpa-

lenia Rzymu: ciekawość, jak też to będzie wyglądało..)

Gdy młody chłopak z trudem rozdmuchał niezbyt ochoczo przyjmujące ogień trawy, pomimo upału i suszy dość soczyste jeszcze, aby się przeciwstawić czas jakiś niszczącemu żywiołowi ognia, my z niepokojem badaliśmy kierunek wiatru, obawiając się, aby w ostatniej chwili nie obrócił się przeciwko nam. Wreszcie buchnęły płomienie i czarne obłoki gęstego dymu. Oczywiście, na ładnych kilka godzin musieliśmy się zatrzymać z dalszą podróżą, oczekując aż jakiś traf w postaci rzeki, przecinającej pałacy się step, lub odwrócenie się wiatru, który pchnie pożar na wypalone już doszczętnie pogorzelsko, stłumi niszczącą działalność trawiącego żywiołu.

Noc już zapadła, czegośmy nie mogli od razu zaobserwować skutkiem bliskości morza płomieni, oddzielonych od naszego cygańskiego obozu wypaloną już przestrzenią, żarzącą się jeszcze gdzieś niegdzie krwawymi placami. Wspaniały był to widok, podziwianie którego psuła nam tylko trema, aby jakiś, jak my, bezcelowy włóczęga po tych stepach, naogół wcale nie uczęszczanych, nie przyplacił życiem naszej lekkomyślności.

Nad ranem mogliśmy już puścić się w dalszą podróż, gdyż, jak daleko oko sięgnąć mogło, nie widać było poza czarną, zwęgloną pustynią szalejącego pożaru.

Radykalne oczyszczenie zapomocą ognia naszej drogi, nie uczyniło jej jednak równej, jak po stole. Co krok sterczały twarde badyle krzewów i zielska, które, wprawdzie w mniejszym stopniu, ale jeszcze utrudniały podróż. Była to najnieprzy-

jemniejsza część wędrówki naszej. Nieznośny zapach spalenizny, kręcący nam w nosach, jednostajny widok czarnej pustyni, a wreszcie brak wody — dały nam się wkrótce we znaki.

W pewnym momencie zatrzymaliśmy się na odpoczynek; zjedliśmy po parę sucharów, popiliśmy butelką wina, ostatnią z zapasów, którymi obdarzył nas jeden z gościnnych gospodarzy, nakarmiliśmy kukurydzą konie, które napróżno wyciągały szyje, pragnąc suche pożywienie popić wodą — i, radzi, nieradzi, — leniwie ruszyliśmy dalej. Ba, ale słońce już miało się ku zachodowi, a tu przed nami, jak i za nami ten sam jednostajny, niesamowity widok czarnej, zwęglonej płaszczyny. Nie było czem nawet rozpalić ogniska, w braku drzewa i tylko pykając fajki rozłożyliśmy się na ciepłym popiole pogorzeliśka, pogrążeni w niewesołych myślach. Zaczęliśmy się na serjo narażać, co robić dalej: czy nielepiej odrazu zawrócić i zrezygnować z podróży w obranym kierunku. Oczywiście, nie obeszło się bez przykrych wymówek i docinków dla inicjatora podpalenia stepu. Muszę przyznać, że jednak te debaty skłopotanych młodzieńców pozbawione były goryczy i smutku. Każde niemal zdanie kończyło się dowcipem, lub wybuchem śmiechu, a drwiny z pochmurnego towarzysza, wyrzucającego sobie lekkomyślny pomysł, były więcej charakteru żartobliwego, niż złośliwego. Ach, ta młodość!

W najcięższej sytuacji, w najprzykreszszym położeniu bez wyjścia — znajdzie zawsze odpowiedni moment dla uśmiechu, dla wesołej dygresji i żywy motyw, nigdy nie wysychające źródło błogosławionej nadziei.

Byliśmy młodzi, jechaliśmy gdzieś przed siebie bez celu, to też całe przykre nasze położenie, tak jak i przedsięwziętą podróż, traktowaliśmy wesoło, zabawnie, dopatrując się w niewygodach, trudach i przeciwnościach motywu do śmiechu i żartów. Dokuczało nam pragnienie, a jeszcze bardziej przeświadczenie, że stokroć gorzej brak wody odczuwają nasze konie, których nie próbowaliśmy poić, oczywiście, resztkami skąpo sobie wydzielanego czerwonego wina. Trunek na chwilę tylko łagodził nasze pragnienie, po chwili potęgując je jeszcze bardziej.

Mój kuzyn, nie mogąc zasnąć, wstał, zakomunikował, że jedzie konno przed siebie i postara się jaknajprędzej wrócić, aby nam dać znać, czy opłaca się jechać dalej w obranym kierunku, czy też należy czempędzej zawracać. Do jakiego stopnia nie myśleliśmy o najważniejszych w naszym położeniu rzeczach, dowodzi, iż puszczając się konno w poszukiwaniu drogi, mój kuzyn zaniedbał wziąć ze sobą kubałkę, lub cośkolwiek na przywiezienie nam i pozostałym koniom wody, gdyby szczęśliwie na jakie źródło tego życiodajnego płynu, a za który w tej chwili oddalibyśmy najprzedniejsze wina — natrafił.

Słońce zaczęło nas prażyć już na dobre prawie pionowemi promieniami. Było południe. Wsunęliśmy się pod płachtę wozu, gdzie znaleźliśmy wprawdzie upragniony cień, ale też zaduch i upał. Na rogoży ułożonej na spalonej ziemi rozsypaliśmy koniom kukurydzę i czekaliśmy coraz niecierpliwiej powrotu wywiadowcy.

Konie, zawzięcie machając ogonami, oglądały się na wszystkie strony, jakby rozumiejąc, iż ten,

który nas opuścił, może przywieźć ratunek. Oczywiście, pierwszy raz od urodzenia pocziwie stworzenia nie odczuwały nieznośnego dla zwierząt niepokojenia przez rozmaite muchy, bąki, robaki, licznie w Brazylii reprezentowane „bichos”. W tym wypadku błogosławiony pożar wyniszczył na jakiś czas w okolicy doszczętnie tę prawdziwą plagę podzwrotnikowych krajów.

Ja osobiście zacząłem się już na serjo niepokoić o los kuzyna. Zdawało mi się, iż zbyt długo go nie widać. Przyszedł mi na myśl młody polak, który tak niedawno przepadł w dziewiczych lasach bez wieści.

Może i moi dwaj towarzysze natrafili właśnie myślami na tę bolesną analogję, dość, że beztroski dotąd nastrój naszej trójki ustąpił miejsca poważnemu zafrasowaniu. Prawdopodobnie, myśląc o temsamem, żaden z nas nie chciał się zdradzić przed towarzyszami niedoli, nie chcąc podrywać tężyzny ducha w tak niepewnej sytuacji. Jeden z dwóch braci zdecydował się wreszcie wyruszyć piechotą na spotkanie oczekiwanego przewodnika. Drugi ograniczył się do coraz częstszego wyglądania z pod budy wozu w stronę, gdzie parę godzin temu zniknął nam na horyzoncie jeździec, a teraz ślaniała się na tle błękitnego nieba sylwetka wycieńczonego piechura. Co do mnie, to leżałem na wozie bez ruchu, do ostatnich granic wycieńczony bezsennością i pragnieniem. Spieczone wargi, popękane i pulsujące sprawiały mi nieznośny ból. Oczy mi nabrzękły, że gdym starał się otworzyć powieki, pozostawały zaledwie minimalne szparki, abym mógł skonstatować, że jeszcze leżę pod brudnym płótnem budy i żyję, a nie jestem przy-

sypany przez czułych kamratów ziemią, czyli po prostu — pochowany. Wreszcie zacząłem majaczyć. Tłem przywidzeń moich był ocean ognia i dymu, na którym w dziwacznych kombinacjach rysowały się znane mi domy, krojobrazy rodzinnych stron i postacie osób drogich mi, a tak dalekich. Czy też ujrzę kiedy w rzeczywistości to, co teraz było treścią gorączkowych majaków?.. Obudziłem się z maligny, czując w ustach rozkoszną wilgoć ciepłej wody i zapach skóry. To kuzyn wrócił wreszcie z rekonesansu i w butach z cholewami przyniósł nam trochę tego dobroczyнного nektaru. Dla koni miał także nielada przysmaki: dwa duże snopki świeżej trawy, które przedtem obficie namoczył w wodzie.

Podczas konnej jazdy do obozu z tym ładunkiem trawa wprawdzie obeschła powierzchu, ale wewnątrz snopów zatrzymała trochę wilgoci. Zresztą już sama zieloność soczystej paszy była powitana przez pozostałe w obozie konie radosnem rzeniem. Trawa stanowiła w tej chwili wspaniałą rozmaitość w ich suchem pożywieniu, składającym się z ziarn kukurydzy i otrąb.

Kuzyn nie radził nam wlec się z wozem tam, gdzie był znalazł strzemień, źródło zimnej i kryształowo czystej wody. Wsiadliśmy więc na konie i ruszyliśmy gęsiego za naszym przewodnikiem. Ledwo mogłem utrzymać się na nieosiodłanym koniu; w głowie mi się kręciło i czułem ból w kościach i stawach.

Schodziłem często z wierzchowca i szedłem za nim, trzymając się ogona zmęczonej szkapy. Dziwiłem się sobie wogóle, że wobec stanu, w jakim przed chwilą znajdowałem się na wozie, moge

jeszcze trzymać się na koniu, lub przebierać nogami idąc za nim. Bodźcem w tym pochodzie był mi, widziany w oddali oczami wyobraźni, szemrzący wśród urwistych brzegów strumień, srebrzący się w promieniach słońca, a niosący prądem całe tonny drogiego napoju, za parę kropel którego teraz gotówbym oddać konia, a nawet połowę życia, nietylko królestwo.

Wreszcie dowleliśmy się do utęsknionego celu. Zaspokoiłmiś pragnienie, wykąpalimś się, napiłimś i wypławilimś konie i nieodrazu wybieralimś się po zostawiony wśród spalonej pustyni nasz kochany wehikuł; dopiero przenocowawszy nad rzeką, opiwśy się wody, jak baki na zapas, puściliśmy się w powrotną drogę.

— — — — —

W naszej okrężnej podróży musiłimś zrobić nielada wielkie koło, gdyż, starając się znaleźć na powrotnej drodze do Curityby, natrafiliśmy na miasteczko—Arankarję, gdzie przed paru miesiącami zajmowałem stanowisko malarza dziada kościelnego i organisty w jednej osobie. Nie orjentowalimś się w drodze już przewędrowanej i zdziwiłem się, widząc zdaleka tak dobrze mi znaną sylwetkę kościoła,—gdyż rozpoczęliśmy naszą tułaczkę przez rogatki, leżące wprost z przeciwnej strony Curityby, niż te, które prowadziły do Arankarji.

Oczywiście byliśmy przyjęci suto i gościnnie przez proboszcza parafji i po obiedzie, pierwszy raz od szeregu tygodni na pięknym, białym obrusie przez nas skonsumowanym, udaliśmy się w drogę

do stolicy Parany. Wiedziałem, że teraz nie grozi nam już błądzenie w drodze, gdyż znałem ją dokładnie.

Na nocleg zatrzymaliśmy się u dobrze mi znajomego rodaka, który na rozstajnych drogach o 2 kilometry od Arankarji utrzymywał *wendę*.

Nie spodziewałem się, że przyjdzie nam tu zabawić parę tygodni, a nie jedną noc, jak to było w naszym pierwotnym planie.

Żaden z nas jednak nie zachorował i nie przesadna gościnność „patrao'a" była przyczyną przedłużenia naszej wizyty u sympatycznego starego emigranta ze Lwowa,—lecz... miłość.

Nasz starszy przybysz z Krakowa zakochał się od pierwszego wejrzenia w Gieni, córce pana domu.

Była to ładna dziewczyna, niskiego wzrostu o niezwykle energicznych ruchach i zwieżłej, silnej a harmonijnej budowie drobnego ciała. Zauważyłem odrazu na wstępie, że kochliwy młodzian wodził oczami za Gienią, gdy na polecenie ojca częstowała nas pierwszą porcją wybornego wina.

Ale zdaje mi się, że krytycznym momentem, który uprzytomnił memu towarzyszowi iż: „ta, albo żadna"... był ten, gdy szorstki względem żony i dzieci „wendziarz" kazał jej wyręczyć nas w wyprężeniu koni, nakarmieniu i napojeniu ich oraz zaopiekowaniu się wozem. Widocznie od pierwszej chwili zainteresowany Gienią młodzik wstał od stołu i stanął na progu wendy, obserwując, jak sobie będzie dawać radę szesnastoletnia panienka z czwórka koni. Zwawo wskoczyła na wóz, śmignęła batem i pełnym klusem zjechała z traktu na podwórko.

Za chwilę oswobodziła zwierzęta z uprzęży, a te rozbiegły się po obszernem ogrodzeniu, wachając się z tubylczymi końmi. Konie nieodrazu dały się podejść drobnej dziewczynce, ale ona, niewiele sobie robiąc z chwilowego niepowodzenia, jednym susem znalazła się w męskiej pozycji na koniu, trzymając się jego grzywy.

Bez uzdy, bosem piętami tylko kierując koniem, zapędziła resztę naszych pegazów do stawu.

Tego samego dnia, w nocy, gdyśmy zamierzali kłaść się spać na wonnem sianie w stodole, zakochany młodzieniec zaproponował mi, abym z nim wyszedł na pole. Gościnnie gospodarz, dając nam nocleg w stodole, sam nie chciał korzystać z łóżka w domu i przełożył siano nad materac, a klepisko nad wygodne łoże.

Gdy znalazłem się z mym towarzyszem na podwórzu zabudowań wendy, ten ostatni bez ogródek zwierzył mi się, iż zakochał się w nadobnej Gieni i prosi mnie, jako dawnego przyjaciela jej rodziny, abym w jego imieniu oświadczył się o jej rękę. Zrazu myślałem, że żartuje. Ale ten, nie tylko nie potwierdził mego przypuszczenia, ale jeszcze naglił mnie, abym natychmiast załatwił poleconą mi misję z matką lub ojcem panny, gdyż niepewność nie da mu dziś oka zmrzyć. Zdecydowałem się zwrócić z tem do naszego dzisiejszego „szlafkamrata“, z którym niejedną butelkę wina byłem wypił za mej bytności ne plebanji proboszcza w Arankarji i z którym byłem bardziej zażyły, niż z jego żoną. Teraz ja z kolei zaproponowałem przechadzkę wendziarzowi.

Po pertraktacjach, które przeniosły się do alkowy pani domu, ja z rodzicami panny uzgodniłem nasze stanowiska w tym duchu, że pretendent do ręki Gieni narazie zachowa w tajemnicy swoje postanowienie. Zbytńia nagłość wywołała duże wątpliwości u rodziców. Postanowiono więc, że gdy po jakimś czasie mój towarzysz nie zmieni swych zamiarów, a panna się zgodzi, — ogłosiemy zaręczyny i wkrótce po nich w karczmie odbędzie się huczne wesele. Mój klient przyjął z zapałem na aromatycznym sianie, marząc zapewne o bliskim ślubie i ukochanej swej bohdance.

Zakochany wogóle nie chciał już dalej jechać i przez trzy tygodnie siedzieliśmy w wendzie, uczując śpiewając, dokazując. Zastępowałem nieraz gospodarstwo za szynkwasem, wyprawiając różne fececje, bawiąc siebie i innych. W wendzie przez czas naszego tam pobytu panował tak wesoły nastrój, że niejeden z gości, który wstąpił tu z zamiarem wypicia szklanki wina, pozostawał w karczmie znacznie dłużej, a nieraz i zanocował. Wogóle przyszła kompanja weselna coraz bardziej się powiększała. W Brazyliji, kraju niezwykłej gościnności, panuje zwyczaj, iż każdy nieproszony oficjalnie przechodeń jest mile widzianym uczestnikiem ślubnego orszaku i gościnnie przyjmowany „czem chata bogata“ u weselnego stołu.

Przyszły teść naszego towarzysza wraz z moim kuzynem udali się wreszcie wozem do Curity-

by, celem zakupów niezbędnych na wesele huczne i wystawne. Przywieźli oni oprócz zapasów żywności, słodyczy, ciast, jeszcze trzech muzykantów oraz dwóch naszych dawnych znajomych ze stolicy, którzy zapragnęli uświetnić sobą uroczystość zaślubin.

Był to ów starszy jegomość z zawodu garbarz, który tak skutecznie niegdyś basował w kwartecie przezemnie zorganizowanym swym potężnym, niskim głosem — i hrabia R. solowy baryton naszych wspólnych śpiewów.

Wraz z przybyciem nowych gości świąteczny nastrój w domu państwa T. wzrósł jeszcze bardziej. Teraz bowiem do atrakcji zajazdu przybywa nowa: chóralne śpiewy. W dalszych izbach szyto ślubną suknię i wyprawę Gieni, w kuchni robiono zapasy dla ugoszczenia wielkiej liczby spodziewanych weselników, w podwórku zaś sam „*patrao*“ mordował wieprze, fabrykując z nich szynki, kielbasy, salcesony... A w zajęździe coraz gęściej gromadzili się ci, którzy ściągali do wendy pojedynczo i grupkami, zawiadomieni pantoflową pocztą o rychłym weselisku w karczmie na rozdrożu.

Chcąc zrobić niespodziankę memu proboszczowi, do niedawna chlebobdawcy, zacząłem mój solowy kwartet uczyć pieśni: „*Veni Creator*“. Nasze próby wypadły doskonale i podczas ślubu śpiew na cztery głosy w kościele wywarł wprost zdumienie. Czegoś podobnego nie słyszano napewno tu nigdy, a może i nie domyślano się, że ten sposób interpretowania pieśni wogóle istnieje.

Książd po skończonym ślubie zaprosił państwa młodych i nas wraz z rodzicami panny na

wino do plebanii, gdzieśmy na żądanie kapłana dla jego przyjemności musieli dwa razy powtórzyć popularny u nas: „*Veni Creator*“ *Freihera*.

Wesele trwało cały tydzień, podczas którego przez gościnne progi wendy przewinęło się całe mnóstwo gości rozmaitych ras, narodowości, stanów i ubiorów. Dominowali wśród nich polscy koloniści, ale nie brakło też murzynów, indjan nie-
możliwie obdartych, świecących w najnieodpowiedniejszych miejscach gołym ciałem z pośród nędznych łachmanów, cabocłów bogato ubranych w jedwabne, złotem przetykane „*palje*“, w szerokie portki wyszywane cekinami, muszelkami i samorodnymi, drogimi kamyczkami. Byli tam temperamentowi włosi i flegmatyczni niemcy, trącający się bombami piwa z amatorami „*do vinho rosso nazionale*“. Nie brakło tam hiszpanów i paru francuzów, a nawet spotkałem rosjanina, których w Brazylii wogóle poznałem zaledwie kilku.

Huczne wesele wreszcie się skończyło, i trzej tułacze, porzuceni przez czwartego na rzecz sakramentu małżeństwa, odjechaliśmy do Curityby, gdy młody żonkoś został u teściów, zamierzając narazie wraz z żoną tam nastale zamieszkać.

W parę dni po moim powrocie z objazdu okolic Curityby otrzymałem wiadomość z agencji nawigacyjnej, iż jakiś stateczek w tych dniach odpływa z ładunkiem belek drewnianych z Paragua do Santos, który może i mnie przygarnąć na swym pokładzie.

Pożegnałem nie bez żalu tych, którzy przez czas mego pobytu zadzierzgnęli ze mną serdeczne węzły przyjaźni; wielu tych, którzy w ciężkich chwilach podawali mi pomocną dłoń, darzyli mnie radą i sympatją. Nie zapomnę tym wszystkim okazanej mi wtedy pomocy i przyjaźni do końca życia, jak też i pięknego, gościnnego kraju, w którym przeżyłem najpiękniejsze miesiące mojego życia—uroczej, gorącej, słonecznej Brazylii...

KONIEC.



269719

Do

P. T. Prenumeratorów!

Niniejszem zawiadamiamy uprzejmie, iż na wszelkie reklamacje należy załączyć znaczek pocztowy za 25 groszy, na zmianę adresu znaczek pocztowy za 50 groszy. Przy zmianie adresu prosimy podać poprzedni adres.

Wszelkie reklamacje załatwiamy do dni 30 od dnia wyjścia książki.

Prosimy o pisanie listów zwięzłych i krótkich.

Administracja
BIBLIOTEKI NOWOŚCI w WARSZAWIE.

BIBLIOTEKA NOWOŚCI

w Warszawie

Senatorska 29. P.K.O. 13.355. Telefon 275-03.

DAJE SWYM CZYTELNIKOM

CO DWA TYGODNIE 15 I 30

::: KAŻDEGO MIESIĄCA :::

estetycznie wydaną książkę,
w broszurze lub oprawie

której roczna prenumerata z przesyłką pocztową
wynosi **zł. 20** w oprawie **zł. 33** (w ratach **zł. 35.**)

Prenumerata płatna przy zamówieniu lub w trzech
ratach:

I rata	Zł. 7, lub 12 zł.
II "	" 7, " 12 "
III "	" 6, " 11 "

Nakładem BIBLIOTEKI NOWOŚCI w Warszawie

wyszły następujące powieści:

Breszko-Breszkowski:

- „Gdy wała się trony“.
- „Krwawa burza“.
- „Tajemnica baronowej“.
- „Adrian zwycięzca“.

Kornel Makuszyński:

- „Radosne i Smutne“.

Blasco Ibanez:

- „Mare Nostrum“.
- „Tancerka Szpieg“.

Junosza Gzowski:

- „Pod słońcem Azji“.

J. Maciejowski:

- „Demoli zmysłów“.

Jokay Maurycy:

- „Synowie człowieka o kamiennem sercu“.
- „Za wolność“.
- „Głos z za grobu“.

Adolf Nowaczyński:

- „Wigilja Duszeńki“ zamiast „Pecha Dyrektora Pecha“ (skonsfiskowanego dnia 11.4.1927 r.).

Olechowski Gustaw:

- „Przodownicy“.

Józef Relidzyński:

- (Autor słynnej sfilmowanej powieści p. t. „Tajemnica przystanku tramwajowego“). Czarna Dama“.

Mieczysław Jarosławski:

- „Klub wtajemniczonych“.

- Józef Maciejowski:**
„Jak liść burzą miotany“.
- Maciej hr. Łubieński:**
„Kwiat paproci“.
„Miłość Artysty“.
- Lord Bulwer:**
(przekład J. Relidzyńskiego) „Dom Upiorów“
- Gustaw Daniłowski:**
„Lili“.
- Jerzy Słoskin:**
„Wiatr“.
„Miłość zwycięża“.
- G. Daniłowski:**
„Tętent“.
- M. Smolarski:**
„Pieśń ulicy“.
„Ludzie w Maskach“.
- E. Jezierski:**
„A gdy komunizm zapanuje“, 2 tomy.
- J. Relidzyński:**
„Romans Znajdy“.
- Maurice Dekobra:**
„Związki Spokojne“, 2 tomy.
- G. Olechowski:**
„Będzie jak było“.
- F. Cooper:**
„Kat miasta Bernu“.
- J. Rzepecka:**
„Symfonia wichrowa“, 2 tomy.
- Marion.**
„Przygody Tadzia na obczyźnie“.
- M. hr. Łubieński**
„Manowce sławy“.

Wyciąć wypełnić i przesać w zapieczetowanej kopercie

Do Wydawnictwa Biblioteki Nowości w Warszawie

D E K L A R A C J A

Ja niżej podpisany
zamieszkały
począ.....

zamawiam w powyższem Wydawnictwie 25 książek w estetycznej dwubarwnej okładce z opłatą pocztową za zł. 20.—, lub 25 książek w pięknej płóciennej oprawie, w dwubarwnej obwolutie z przesyłką za zł. 33. — (zł. 35 w ratach).
Powyższe książki wymieniona Biblioteka zobowiązuje się dostarczyć podpisanemu w ciągu roku t. j. 15-go i 30-go każdego miesiąca. Jednocześnie z wysłaniem deklaracji, wpłacam na konto Biblioteki Nowości w Warszawie P. K. O. Nr. 13.355 zł. 20.—, lub zł. 33.— za książki w płóciennej oprawie.

R a t y:

1-ą ratę w sumie zł. 7, lub zł. 12 wpłacam wraz z wysłaniem deklaracji, pozostałą kwotę w sumie zł. 13 lub zł. 23 wpłacę za dni 30 zł. 7 lub 12 zł. a za następnych dni 30 zł. 6 lub zł. 11.
Wysyłkę książek proszę rozpocząć po wpłaceniu całej należności, lub 1-ej raty.
Należność wpłacam na Nr. P. K. O. 13.355.
„ wysyłam przekazem pocztowym.
„ „ wraz z deklaracją listem poleconym.
Niepotrzebne skreślić. Podpis:

Do
Biblijoteki Nowości
w Warszawie

WARSZAWA

SENATORSKA 29,
Galerja Luxemburga.